

ANDRZEJ STĘPNIEWSKI

Babylon Square

Biorąc pod uwagę filozofię Dalajlamy i całej reszty zakwaszonych Buddystów, możliwe, że wszystko to było tylko złudzeniem. Zbiorem wzajem określających się przedmiotów i zdarzeń. Jak słowa opisujące w słowniku inne słowa. Albo elementy równania, gdzie wiemy jedynie, czym jest x wobec y , ale nie czym jest po prostu. Można też pójść w stronę solipsyzmu. Powiedzieć, że to złudzenie jedynej istniejącej istoty, i to w dodatku chorej, bo mającej zwidy. Jedynej istniejącej, czyli głównego bohatera wydarzeń, który właśnie ogląda ślady krwi na ścianie hotelowego pokoju w jednej z obskurniejszych dzielnic miasta i obraca w głowie szalone pomysły. Jeżeli jednak pomysły te odrzucić i uznać realność otaczającego świata, to przez okno widać szare mury Babylon Square, nieliczne latarnie oświetlają pornograficzne graffiti na ścianach kanciastych budynków, jakby trochę kiepsko wyrenderowanych; brązowiejąca trawa zarasta szczeliny pomiędzy płytami chodnikowymi, na których leżą niedopałki papierosów, jointów i szkło butelek po piwie, a kawałek dalej, pod ławką, coś jakby strzępy damskiej bielizny. A może podarta gazeta? Nieliczne latarnie są jedynym źródłem światła, które wpada przez okno i oświetla

te cholerne plamy krwi na tapecie obok uchylonych drzwi drugiego pokoju. Przez szparę widać łydkę leżącej na podłodze kobiety. Łydka kończy się czarnym bucikiem na wysokim obcasie, a wokół niej rozptywa się kałuża. Kałuża jest zarazem lustrem nieokreślonego koloru odbijającym okno przesłonięte rozwartymi żaluzjami, ale bohater już wie, że to kolor czerwony, że to krew tej kobiety, że kobieta nie żyje i że filozoficzne problemy realności bytu lepiej odsunąć na później. Na pytania - dlaczego kobieta nie żyje? i co robić w takiej sytuacji? - nie było już prostych odpowiedzi. Chciał się zabawić, poderwał w barze dziewczynę, zaciągnął do taniego hotelu, poprosiła o coś do zakurzenia przed seksem, więc wyszedł po skrzyżowaniu, wraca z płonącym w zębach i rozsiewając zapach firmowej marihuany Philipa Morrisa zastanawia się nad ontologią plam krwi na ścianie. Trzeba zwiewać, zanim zjawią się gliny.

"Jakiś chory świr zabił mi laskę, więc trzeba się zmywać, bo wyślą mnie zamiast niego na krzesło elektryczne. W moim pokoju hotelowym leżą jej zwłoki, a jego nikt pewnie nie widział. Trzeba się zmywać. Proste".

Obdrapane drzwi trzasnęły i Czajnik wybiegł na korytarz. Potem na hol. Potem na ulicę. Skręt wciąż płonął mu w zębach, a smużka dymu ciągnęła się za nim jak cień. Nie zdawał sobie sprawy, że wciąż biegnie. Nieliczni przechodnie ustępowali mu z drogi i oglądali się jak za wariatem. Złośliwy

starzec, siedzący zazwyczaj na rogu Babylon Square i Trzeciej Poprzecznej, wyciągał nogi na płytach chodnikowych.

"Kolejny świr ze zlasowanym od shivy mózgiem" -

zaklasyfikował zbliżające się zjawisko i jak to miał w zwyczaju, postanowił podstawić mu nogę. Schował się we wnęce za plecami. Czajnik jak długi wyciągnął się na ziemi. Skręt wypadł mu z ust i zdobycz potoczyła się wprost pod nogi starca.

- Jak łazisz, popaprańcu? - wydarł się staruch chowając skręt za plecy. Czajnik zdał sobie sprawę, że wokół pełno jest świadków, którzy zobaczą w nim panicznie przestraszonego mordercę, uciekającego z miejsca zbrodni. Tak przynajmniej będą zeznawać, gdy po wykryciu morderstwa policja pytać ich będzie, czy nie widzieli czegoś podejrzanego. Jednym z takich potencjalnych świadków jest ten właśnie złośliwy dziad. "Ale dziadostwo" - pomyślał i podniósł się w stanie absolutnego zubożnienia, które nagle nie wiadomo skąd się pojawiło. Następnie otrzepał ubranie, zapalił papierosa i dostojnym krokiem odszedł w stronę metra.

Pierwszy dzień września był dla funkcjonariuszy czymś wyjątkowym. Czekano się nań z utęsknieniem. Pieczołowicie robione kluseczki grzały się w termosach, słoiki grzybków czekały na otwarcie, kobiety stroiły się w swojej kajucie, niektóre używały nawet prawdziwej szminki, panowie umyli zęby, a szefowa wzięła zerograwitacyjny prysznic, co było nie

lada przywilejem po awarii filtrów systemu zamkniętego, kiedy tak oszczędzano wodę. Misja Międzyplanetarna Pierwszego Stopnia z prawem do pierwokupu napotkanych złóż shivy w kolejną rocznicę założenia mogła pozwolić sobie nawet na dostawę prawdziwych klusek dla swoich międzyplanetarnych funkcjonariuszy. Specjalny statek dostawczy dobił wczoraj i były to chyba najdroższe kluski w układzie słonecznym - licząc po sto tysięcy dolarów od frachtu kilograma czegokolwiek na tak dużą odległość, jakiś milion dolarów. Kucharz zapewne wolałby ładunek wykwintnego i rzadkiego dania cennego dla restauracyjnych snobów, ale przestrzeń między Jowiszem a Saturnem przecinana była przez grupę grubiańskich fanatyków klusek. Siecią przyszło od kierownictwa kilka listów pochwalnych, zdjęć, rodzinnych filmów, korespondencja z bliskimi, parę laurek i podobne duperele, których wartość w porównaniu z kluskami dla funkcjonariuszy była żadna. Klusek z początku zresztą w ogóle się nie jadło, tylko wąchało. Przez jakąś godzinę, aby nasycić się tym tak rzadkim specyfikiem. Proces konsumpcji następował dopiero umownym wieczorem (jak tu trzymać cykl dobowy, kiedy słońce nie wschodzi, nie zachodzi, tylko niewiele większe od dużej gwiazdy zagląda przez jedyny wizjer, a wszystkie pory dnia są względne). Czajnik przebywał w przyczajeniu. "To nie ja ją zabiłem" - powtarzał sobie często po niewyjaśnionym morderstwie w

hotelowym pokoju, aby nie stracić wiary. Bo mimo że naprawdę jej nie zabił, nadchodziły momenty, kiedy nie był już tego pewien. Być może w hotelu przy Babylon Square urwał mu się film i nic nie pamięta? Może dostał wtedy kociego rozumu, jakiegoś ataku, wyszło z niego jak mister Hyde jakieś ciemne, krwawe alter ego i popełniło zbrodnię? Ale film nie urwał mu się przecież. Tego dnia wypił tylko dwa piwa. No i zapalił skręta. Film nie mógł mu się urwać po tak małej dawce substancji odurzających. Znał swój organizm. Sumienie na przemian bolało jak sparzony palec, to przechodziło w stan zubożenia, czyli totalnej olewki. Wiedział, że w końcu wszystko minie, ale fakt ten, zamiast podnosić na duchu, był powodem kolejnych wyrzutów. Dłubał w nosie zapalkami i obgryzał paznokcie, ale niewiele to pomagało. Zamykany za młodu przez rodziców w lodówce cierpiał na awersję wobec niskich temperatur. Gorączkował się więc. A może jednak przeżyła?

Trudno jest dziś opisać sytuację Czajnika wiele lat po tamtych wydarzeniach. Zwłaszcza że wszystkie one, mimo że dosyć absurdalne, mają związek z kluskami w przestrzeni pomiędzy Jowiszem a Saturnem w dziesięć lat po pewnej rozmowie w zoo i po tamtym niewyjaśnionym morderstwie w hotelowym pokoju przy Babylon Square. Dziś ciała konsumentów owych klusek spoczywają w przestrzeni absolutnie nieruchomo, w czym podobne są do ciała Czajnika.

Istnieje jednak pewna podstawowa różnica. Czajnik wciąż jeszcze żyje, a konsumenci klusek nie. "10 goto 10" - określiłby jego stan stary przyjaciel imieniem Zygi (złośliwie przez niektórych nazywany Rzygi), który zjawił się w tamtych dniach w lokum Czajnika przyłapując go na przyczajaniu się. Zygi był autentycznym bezistnieniowcem. Przeszedł trzecią fazę oświecania i pustka będąca przestrzenią, będąca umysłem, nie kryła mu się przyobleczone iluzją świata. Tak przynajmniej twierdził. Oświecanie za pomocą specyfiku o nazwie shiva, wydobywanego w kosmosie między innymi przez fanatyków klusek, kosztowało go wiele zdrowia i pieniędzy. Inwestycja jednak opłacała się. Względnie. W starej terminologii nazwać by go można Buddą, dziś jednak nie używa się już takich słów, uważając, że mają zbyt zabobonne brzmienie. Jako bezistnieniowiec Zygi był nieźle opłacany przez prywatne agendy wywiadowcze. Kiedy dochodzi się do wniosku, że świat jest iluzją - a na tym z grubsza polega oświecenie, okazuje się, że iluzją tą można manipulować - a na takich umiejętnościach oświecenie polega w szczególności. Zygi zjawił się zatem u Czajnika, jak to miał w zwyczaju, wychodząc ze ściany pod postacią starej, grubej, nagiej kobiety o tłustych włosach i rysach twarzy makabrycznie wykrzywionych, a następnie dokonał płynnej metamorfozy do kształtów swego naturalnego ciała. Czajnik leżał podłączony do sprzętu i w jego głowie tkwił wirtualny

obraz komputera ze staromodną klawiaturą i myszą, przed którym siedział grasując po sieci, tak więc popis morfingu dany przez Zygiego nie miał widzów.

- Tak, jak myślałem. Nadwerężasz neurony. Odłącz się, bo głowa spuchnie ci jak cyferblat.

Czajnik pracował tylko na staromodnych interfejsach użytkownika, a Zygi pojawiał się nagle wychodząc ze ściany, po czym przeistaczał się w siebie samego albo co gorszego. Zarówno w przypadku Zygiego, jak i Czajnika była to kwestia przyzwyczajenia.

- Pewnie znowu pojawiasz się jak na pokazach kiczowatej holopornografii - odparł Czajnik rozpoznając go po głosie.

Odłączył się wyjmując kabel z karku. Ta chwila po zaiskrzeniu ostatniego przerwanego złącza, kiedy obraz pokoju powinien już pojawić się na siatkówce, a wciąż jeszcze go nie ma, podobała mu się najbardziej. Sekunda niebytu.

- Oj, Czajnik, Czajnik... Znam cię od stuleci i zawsze musisz się wpakować w jakąś absurdalną katastrofę. Teraz ścigają cię gliny i myślą, że jesteś mordercą.

Czajnik nie spytał: "Jak się o tym dowiedziałeś?"

Bezistnieniowców nie pyta się o takie rzeczy. Byłoby to mniej więcej tak samo głupie jak pytanie "Skąd wiesz, że jest dzień?" zadane przez ślepego widzącemu.

- Przecież jej nie zabiłem... - odpowiedział.

Zygi spojrział na niego z ukosa. Czajnika trochę to zmieszało; jego chude nogi zaczęły drżeć.

- Przyszedłem cię ostrzec. Za dwadzieścia minut zjawią się tu po ciebie i wcale nie będą mili. Radzę się zmywać.

Czajnik pracował właśnie nad przelewem tysiąca dolarów na swoje konto, żeby mieć na czynsz i jedzenie. Miało to wyglądać na darowiznę, choć Instytut Wspierania Rodzin Wielodzietnych wcale o tym nie wiedział. Odłączony od sieci zastanawiał się idiotycznie nad kodami wejściowymi ich banku, które rozpracowałby zapewne w ciągu godziny. Teraz przestało to mieć znaczenie.

Pięć minut później szedł ulicą wyglądając jak zupełnie zwyczajny przechodzień. Nie mógł sobie darować, że nie spytał Zygiego, kto ją zabił. Bo wiedział już, że ona nie żyje. Zygi powiedział przecież, że gliny mają go za mordercę. Za rogiem uświadomił sobie, że to niczego nie przesądza. Ona mogła przeżyć, jeśli ten, kogo szukają, zabił kogoś wcześniej. Gliny wpadły na trop seryjnego mordercy, którego ostatniej ofierze udało się przeżyć. Czy coś w tym stylu. Tylko, dlaczego dziewczyna nie powiedziała wtedy, że to nie on usiłował ją zabić? Nie widziała mordercy i myśli, że był nim Czajnik? Choć z drugiej strony najprawdopodobniej jest martwa, więc nic już myśleć nie może. Czuł, że jeżeli jeszcze przez minutę będzie się nad tym zastanawiał, wyląduje u czubków. Jak ona miała na imię?

Dwa dni później jego stara znajoma Doris zgarnęła go z ulicy. Mówiła coś o pracy. Czajnik stał się obiektem jej zainteresowania jako haker. Później już nie tylko jako haker. Rozmowa zaczęła się od tego, że delfin się utopił.

Dyrektor parku zoologiczno-widokowego Filip Karlschvinn był załamany. Ostatni delfin na tej półkuli. No i co robi ostatni delfin na tej półkuli? Topi się! Na szczęście zachował się kawałek płetwy, więc będzie można go sklonować. Resztę ciała zjadł ostatni na tej półkuli rekin. Przysłuchująca się dyrektorowi młoda, piegowata rzeczoznawczyni, czyli Doris, zaczyna się podśmiewać. A może delfin nie umiał pływać... Delfiny przecież się nie topią. Delfin, choć ssak, w wodzie powinien czuć się jak ryba. No i tu dyrektor wyjawiał sedno sprawy. Wcześniej jednak w konspiracyjnym odruchu przysłonił żaluzje za masywnym jak i on sam, ciemnym biurkiem z tyłu swojego gabinetu. Sprawa poufna. Okazało się, że z pływaniem u delfina rzeczywiście nie było najlepiej. Jego materiał genetyczny był zniekształcony w wyniku nieprzewidzianych mutacji podczas poprzednich klonowań i o pływaniu delfin miał mniej więcej takie pojęcie jak słoń o fruwanii. Pozornie był w porządku. Miał wszelkie niezbędne dla delfina kończyny, płetwy i tak dalej. Jednak nie potrafił tym swoim optycznie idealnym ciałem odpowiednio poruszać. Coś jakby dziecko, które nie nauczyło się chodzić i zasuwa na czworakach, tylko że jest już dorosłe. Geny odpowiedzialne

za wykształcenie odpowiednich u delfina struktur neuronowych, odpowiedzialnych za automatyczną koordynację mięśni podczas pływania, należało więc przeprogramować. Problem w tym, że zoo nie dysponuje taką technologią. Przeróbki materiału genetycznego na takim poziomie to ściśle tajna domena wojskowych. Każdy wie, jakie mózgi oni potrafią wyhodować. Einstein wydaje się półgłówkiem. No i o to właśnie chodzi. Wojskowi babrają się w genach odpowiedzialnych za układ nerwowy z taką łatwością i precyzją, jakiej... jakiej potrzebuje zoo, żeby przerobić mózg przygłupiego niezdary delfina, żeby nauczył się pływać - jak to ujął dyrektor. Problem w tym, że do tej tajnej technologii nie ma dostępu. I dlatego właśnie ją tu wezwał. To znaczy rzeczoznawczyńię do spraw bezpieczeństwa sieci wewnętrznej zoo. Chodzi o to, że tę tajną technologię należy wojsku wykraść przez sieć. Matka Ziemia tego od nas wymaga. Doris musi mieć wśród swoich dawnych znajomych mnóstwo najwyższej klasy hakerów, którzy są w stanie to zrobić. "Ja się rzeczoznawczyńię o przeszłość nie pytam, ale jeżeli ktoś chroni sieci przed włamaniami, sam musiał się wcześniej do takich sieci włamywać". I tak dalej. Dlatego Doris ma mu tę tajną wojskową technologię dostarczyć, nie interesuje go jak, kto to zrobi, ile złamie zabezpieczeń i przepisów komunalnych bądź prawa karnego. I tak dalej. Matka Ziemia wymaga od nas,

żeby ostatni delfin na tej półkuli umiał pływać i to jest najważniejsze. Kropka.

Kapitan statku kosmicznego Zielone Warzywo zauważył Ich pierwszy. Statek nie istniał już kilka lat, ale to w niczym nie przeszkadzało. Kapitan przesunął się wtedy z wolna wzdłuż swojego jak i statek nie istniejącego ciała, przebywał mniej więcej między swoim trzecim a czwartym zębem i stało się - Oni pojawili się. Pierwszy był chudy i nieruchawy, tak jak i drugi zresztą. Trzeci za to... Cha. Trzeci to był w ogóle! Niezwykły okaz! Długi ciąg zer i jedynek, który był kapitanem, przelewał się na kształt układu nerwowego przez sieć procesorów symulowanych przez inną, jeszcze mocniejszą maszynę, która być może też była symulowana przez kolejną, późniejszej generacji, co musiałaby robić dla zachowania kompatybilności z wciąż rozbudowującym się systemem, choć tej ostatniej kapitan nie był już pewien... ciąg zer i jedynek będący stanami elektrycznymi poszczególnych najdrobniejszych komóreczek tego całego cholerstwa, ciąg zer i jedynek wyrażający stan umysłu kapitana, więc ten ciąg przeszedł coś w rodzaju traumy na widok trzeciego i ostatniego. Kapitan miał świadomość swojego fizycznego nieistnienia, miał świadomość, że symulowanie jego mózgu, jak i dowodzonego nim statku przez maszynę, może nieść dziwne wrażenia, jednak to przechodziło wszelkie jego przewidywania. A poza tym - pierwsze komputerowo

symulowane spotkanie z Obcymi nigdy nie było niczym przyjemnym. No, ale cóż robić, jeżeli prawdziwych Obcych nie ma, a użytkownikom komputerów chce się dostarczać gry niosącej naprawdę mocne wrażenia... Kapitan autentycznie zaginionego statku po przeniesieniu stanu jego martwego, cudem odnalezionej mózgu, wszystkich ewoluujących w nim nieustannie połączeń neuronowych, synaps, kory mózgowej i całego tego galaretowatego paskudztwa do odpowiednio utworzonych programów symulacyjnych, stał się więc bohaterem kolejnej gry przygodowej pod tytułem "Zielone Warzywo i Gumisie z Matplanety". Na co dawno przed zaginięciem swojego statku (o zupełnie innej zresztą nazwie) wyraził pisemną zgodę i za co otrzymał niegdyś niemałą sumkę, którą przepuścił w sposób dość rozpustny, nie z Gumisiami z Matplanety bynajmniej.

Kiedy Trzeci skoczył na kapitana i właśnie zaczynał go wchłaniać, przemieniając telepiące się z przerażenia ciało w pulsujący, słodki, gumowaty kisiel, Czajnik wyłączył symulację. Czajnik znał kapitana z dawnych czasów, to znaczy sprzed jego śmierci. Teraz siedział w salonie gier i chciał z nim po prostu pogadać, w czym skutecznie przeszkadzały pojawiające się tu i ówdzie Gumisie.

Wystartował raz jeszcze, tym razem na absolutnie najniższym poziomie trudności i miał nadzieję, że do najbliższego Gumisia mają przynajmniej pięć minut, na rozmowę. Bohater

gry, gdy jeszcze żył, nosił ksywkę Dziki i nieraz pomagał Czajnikowi w różnych kłopotach. Czajnik natomiast rewanżował mu się czasem jakimś komputerowym oszustwem. Dzięki jednemu z takich oszustw Dziki został kapitanem statku kosmicznego. Wcześniej po pijanemu wyraził Czajnikowi takie dziwne życzenie, a ten, jakby na złość, także w stanie upojenia, zrealizował jego pijaną wizję. Później o Dzikim słuch zaginął, aż powrócił nagle jako bohater gry komputerowej.

Czajnik znowu miał to groteskowe wrażenie, że do reszty oszalał. Zawsze czuł się tak, gdy rozmawiał z bohaterem gry komputerowej w salonie gier (bardzo kiepskim zresztą i niebezpiecznym salonie) i świadomość, że bohaterem gry jest jego autentyczny choć komputerowo symulowany kumpel, niewiele pomagała. Zresztą, jak można być kumplem autentycznym symulowanym czy symulowanym autentycznym - po lekkiej zmianie znaczenia jednego wyrazu zdanie traci sens logiczny.

- Cześć, Dziki. Witam ponownie. Jak tam się miewasz po ostatnim gumisiu - wykrztusił.

- Kurwa, ale groteska, co... Żeby mi dali choć jakichś autentycznie przerażających obcych... Ale galaretowate, słodkawe paskudztwo w kształcie misia z dobranocki?! Walka z gumisiami to nie są przelewki... To są płynne przelewy mojego ciała.

- Będę się streszczał, bo mi się kończą żetony... -
powiedział Czajnik i poczuł kolejną nokautującą dawkę
groteski. - Miałem ostatnio kłopoty... Nie będę ci mówił.
Wiesz, że zawsze się w coś wpakuję... Teraz pracuję dla
zoo... Kiedy jeszcze żyłeś i latałeś, miałeś kontakt z
wojskowymi... Chodzi mi o parę szczegółów...

- Nic dziwnego, w końcu pracowałem wtedy dla wojska.
Wydobywałem dla nich shivę... Dzięki twoim machlojom
zresztą...

- Widzisz... Ma to związek z tym, czym zajmuję się teraz.
Chodzi mi o to, że wojsko nie istnieje w sieci. Nie ma się jak
do nich dostać. Musi być jakieś tajne wejście...

Dziki wykonał minę mądrego zatroskania z pomocą
twarzy kapitana Marchevy ze statku Zielone Warzywo. Ta
mina miała być jego fetyszem w komercyjnej promocji gry,
była tak dobrze symulowana przez program, że Czajnik
poczuł, iż zupełnie traci kontakt z rzeczywistością. Czy to
wciąż jest Dziki? Czy symulowanie umysłu przez algorytm
oznacza ciągłość jego istnienia? Klasyczne pytania
współczesnej filozofii... Sam należę do długiej serii przyczyn i
skutków, które umieściły Dzikiego wewnątrz tej głupiej
maszyny.

Kapitan Marcheva odpowiedział swoim dystyngowanym,
kapitańskim głosem:

- Trzech gumisiów po lewej. Uzbroić torpedy.

- Nie wygłupiaj się...

- Wojska w sieci nie ma, bo go tam nigdy nie było. Jedyne wejście, to ta kretyńska symulacja i jej podobne. Wojsko występuje pod nazwą producenta takich programów. Zresztą ma w ich produkcji duży udział. Tylko oni dysponują technologią pozwalającą na odpowiednio dokładną analizę mózgu przenoszonego do symulacji delikwenta. A teraz wyłącz tę cholerną grę. Nie wytrzymam kolejnego gumisiowego wchłaniania.

- Gumisiowe wchłanianie - odezwał się spiker towarzyszący grze. - Coś, co powinieneś zobaczyć.

Gumisiowe wchłanianie! Mocne wrażenia dla prawdziwego mężczyzny! Tylko czy nie za słodkie?

Dziki zszedł z mostka kapitańskiego i zarządził włączenie tarcz ochronnych, inni członkowie załogi w strojach z warzyw dokonywali inspekcji zabezpieczeń za pomocą kiczowatych, kolorowo migających niby-detektorów. Czajnik wyjął przewód ze złącza w swoim karku, przez które bezpośrednio do nerwu wzrokowego płynął obraz owej symulacji. Znowu chwila ciemności, nim oczy odzyskają zdolność widzenia.

Automat do gry wyłączył się samoistnie, a on podniósł lekko ociężałą głowę z poduszki w jednej z kuszetek przypominających trumnę, w których odcięci od świata fani gier oddawali się tu uciechom, częstokroć seksualnym.

Mroczny salon podobny był trochę do średniowiecznego

szpitala, gdzie umierający leżą bez ruchu i bez niczyjej pomocy dogorywają spokojnie pod ścianami. Nastawieni na dłuższy pobyt, podłączyli sobie kroplówki. Czajnik wstał i zataczając się zrobił kilka kroków. Potem wyrzygał się na podłogę. Jak ona miała na imię? - pomyślał.

Następnego dnia, nie wiadomo czemu, zakochał się w Doris. Poczucie winy nie znikło i z głową Czajnika wciąż działy się rzeczy dziwne. Kłopoty z psychiką nie były jednak niczym wyjątkowym. Takie czasy. Gdyby tak znaleźć równowagę... - myślał Czajnik i szukał, choć nie wiedział, czy potrafi, dlatego zakochał się w Doris, dla której pracował.

Fragment zapisków w pamięci wszczepionej. Głowa

Czajnika, gdzieś z tyłu czaszki:

"Duża liczba błędów ortograficznych. Duża liczba błędów życiowych. Duże dawki postmodernistycznie wymieszanych związków uczuciowych i narkotycznych. Nieduża waga ciała. Niska płaska miska, do której kapią spod sufitu czaszki przeciekające do wewnątrz wrażenia z podbojów seksualnych i myśli samobójcze. Rozproszenie wojsk nie oznacza klęski. Rozproszenie nie dających się pogodzić celów nie rokuje dobrze. Dojrzewające kobiety w snach. Ich rozpuszczone włosy, wędrujące dłonie i dziecinnie przesadne przeżywanie uczuć. Dwa dni później zjawia się dziewczyna. Długie nogi i niespokojne ruchy głową. Długie zespolenia parzących się ciał. Długie rozmowy przed zaśnięciem. Jej zmyślane historie

i szybki oddech. Później śmiech. Później brak zmian. Trwa to prawie bez końca. Czas ucieka. Przechodzi bokiem albo wyprzedza jak nerwowy przechodzień. Jesteśmy poza nurtem. Poza wirem zdarzeń tej mitycznej obiektywnej rzeczywistości. Tworzymy własny świat. Ani lepszy, ani gorszy. Niby inny, niby taki sam. Jest tylko chwila obecna. Jesteśmy razem. Jest dobrze.

Nasz świat to my. »Pieprzyć ten biznes« - powtarzamy w kółko. »Pieprzyć ten biznes« to wyznacznik naszego świata. Mamy świadomość, że to infantylne, ale takie oceny są właśnie częścią biznesu, który pieprzymy. Bo biznes to pojęcie dosyć wieloznaczne. Biznes to wszystko to, czego nie potrafimy zaakceptować. Pieprzymy także pieprzenie tego biznesu. Kradniemy ze sklepów i robimy małe przekręty. Jesteśmy dużymi dziećmi. Zdrowy rozsądek nas nie dotknął i nie zaraził tą straszliwą chorobą - pragmatyzmem i realistycznym spojrzeniem na świat.

Sposób, w jaki ona jęczy i obejmuje moją głowę, sposób, w jaki ona mówi, sposób, w jaki odchodzi, albo w jaki się śmieje, kiedy robimy to na klatce schodowej. Nasze żartem rzucone docinki. Celne słowa, które łaskoczą i drażnią. Które śmieszają.

- Kiedyś się nawzajem pozabijamy, ale nie dożyjemy tego.

Śmiech. Duża ilość alkoholu, mała ilość snu. Ściągamy

dane i ściągamy ubrania.

Wreszcie przestaję myśleć. Bezmyślny jak przygłup zajmuję się życiem. Myślenie przeszkadza w takich sytuacjach. Myślenie odbiera radość doświadczania.

Działać na zasadzie czucia, na zasadzie odruchu, na zasadzie poznania, jak chciał Ptasiek. Jak to robią zwierzęta.

Żadnego morału, tylko akcja. Nic więcej.

Jedziemy autobusem. Jestem pijany. Osuwam się na jej ramię i drzemię. Ona patrzy przez okno. Lekki uśmiech i lekkie zatroskanie na jej twarzy mówią, że jest daleko. Niby łagodne, delikatne rysy układają się i oddają uczucia związane z miejscami i ludźmi, o których teraz myśli. Jakieś dążenia.

Układ brwi. Nieruchomy, błyszczący wzrok, którym wpatruje się w miasto, ale nic nie widzi. Jest piękna. Za oknem neony.

Reklamy papierosów. Droga. Noc. Kobiety kłócą się o torbę z grzybami. Bliżej brudne szyby i obdrapane wykładziny. Na siedzeniach wulgarne napisy. Para obok próbuje nawiązać

kontakt. Nieśmiali nocni rozmówcy. Inna para usiłuje nawiązać kontakt z rzeczywistością. Przystanek. Wsiada głośna grupa młodych biesiadników. Normalnie kolesie po kwasie - można powiedzieć, ale się nie mówi, bo się drzemie, no i po co w ogóle mówić, tego nie wie nikt, z samymi mówiącymi włącznie - krótki ciąg myśli. Wsiadamy.

- Teraz będziemy się pieprzyć - mówię do niej z niedbałym, alkoholowym przeciągnięciem.

- Teraz będziemy się pieprzyć - odpowiada. Zaczynamy

się śmiać. Nie jestem już śpiący. Jestem pijany.

Podłoga w jej mieszkaniu. Miękką wykładziną.

Rozrzucone ubranie. Robimy to już półtorej godziny i nie możemy opanować śmiechu. Sposób, w jaki ona się śmieje.

Pocimy się. Sposób, w jaki ona jęczy.

Potem zostają plamy na dywanie, a my milcząc patrzymy sobie w oczy. Poza sobą nie mamy nikogo i nikt więcej nas nie interesuje. Romantyczność posunięta hen, hen, daleko, wijąca się między naszymi nogami jak flądra albo co takiego.

- Kocham Cię - mówię.

- Kocham Cię - odpowiada.

Słowa są prawdziwe.

Niby łagodne, delikatne rysy układają się w całość".

Dyrektor parku zoologiczno-widokowego "The Last Forest" na starej Ziemi zastanawiał się, co zrobić z tak dużą liczbą bezcennych informacji. Tajna wojskowa technologia pomocna w rekonstrukcji delfina umiającego pływać mogłaby się nieźle sprzedać. Dyrektor Karlschvinn wciąż jednak czekał, aż będzie miał ją w całości. Jego asystentka i rzeczoznawczyni od bezpieczeństwa sieci była istotą na tyle naiwną, że wierzyła w historię o ratowaniu delfina topielca i dyrektor dziękował za to Bogu, czy jakiegokolwiek innej istocie odpowiedzialnej za jej wiarę w ocalenie ziemskiej przyrody. Dyrektor Karlschvinn żył nadzieją, że znaleziony przez nią

muł roboczy będzie równie naiwny i ściągnie siecią wszystko.

Żył tą nadzieją i trzymał grube kciuki zaciśnięte we wnętrzu swych potężnych dłoni. Robił to podczas coraz częstszych spacerów ze swym autentycznym, nieklonowanym psem rasy, której nazwy nikt już nie pamiętał, robił to podczas jazdy swoją lśniącą, wykwinną, klasyczną limuzyną marki Rolls Royce, bezszumowo mknącą nad budynkami przedmieścia nieopodal zoo, robił to u siebie w biurze i u siebie w domu, na co zwróciły uwagę odwiedzające go drogie kochanki.

Przechadzając się uliczkami w pobliżu swojej willi, szczególnie wieczorami, rzucał długi, kanciasty, szeroki cień na chropowaty asfalt porośnięty glonami - jedną z niewielu poza chwastami i brązowiejącą trawą dostatecznie odporną odmianą flory, aby przetrwać w mieście; obok niego wyrastał cień luksusowego psa dla snobów z bogatych dzielnic, a w głowie dyrektora zjawiał się cień trzeci, rzucany przez podejrzenia co do asystentki Doris. Czy ona nie kombinuje czegoś na własną rękę? A może razem z tym jej zandroidziałym hakerem Rondlem, Patelnią, Czajnikiem czy jak mu tam wystrychną go na dudka i uprzedzą sprzedając wojskową technologię koncernowi od sztucznych inteligencji?

Czyjaś naiwność nie jest wystarczającą gwarancją w sprawach dotyczących grubych milionów dolarów. Dlatego dyrektor Karlschvinn go wynajął. Wynajął Zygiego.

Zygi czuł się dziwnie w nowej sytuacji. Śledzić starego

przyjaciela dla takiej grubej świni... Czegóż się jednak nie zrobi dla shivy? Zygi mógł przybrać postać włoska na ramię jego dziewczyny, mógł stać się świstkiem w jego kieszeni, mógł być wycieraczką pod jego drzwiami albo zadrapaniem na ścianie. Jednego jednak nie mógł. Nie mógł obejść się bez owej substancji. Oświeceni potrzebowali jej, aby utrzymać swój stan. A cały biznes urządzony był tak, że nie mogli otrzymać jej inaczej niż świadcząc usługi takie jak Zygi.

Fizyczny (choć w tym przypadku słowo to brzmi dziwnie nieadekwatnie) głód shivy był zbyt silny, aby Zygi mógł zrezygnować z tak dobrej oferty. Wszystko to jednak bawiło go. Szczególnie przewaga nad dyrektorem Karlschvinnem, który nie wiedział, że on i Czajnik są, lub może już tylko byli, przyjaciółmi. Dlatego na wszelki wypadek Zygi nie wykonywał swojego zadania zbyt sumiennie. Większość czasu spędzał pod postacią czerwonego olbrzyma na obrzeżach drogi młecznej, zachwycając się pięknym widokiem na wnętrzu dysku galaktyki. Uspokajał w ten sposób swoje sumienie i zbliżał się do podjęcia ostatecznej decyzji. Czy przejść w upragniony niegdyś na wschodzie stan absolutnego nieistnienia, czy kontynuować byt w postaci ćpającego Buddy.

Pojęcie ćpającego Buddy rozbawiło go do tego stopnia, że gwiazda, którą był, nie wytrzymała i na obrzeżach galaktyki doszło do wybuchu supernowej. Zygi, choć oświecony, a w tym momencie oświecony w sposób aż nadmiernie dosłowny,

nie wiedział, co zrobić. Jeśli nie wykona zadania i pozostanie lojalny wobec kumpla, zepsuje swoją nieposzlakowaną opinię przemysłowego agenta wywiadowczego, nie znajdzie kolejnego zlecenia i zostanie na zawsze odcięty od shivy.

Stanie się wtedy pustką, którą zamknęci w błędnym kole samsary, kole narodzin i śmierci, wypełniają sobie złudzeniem świata. Stamtąd nie będzie powrotu.

Po wybuchu supernowej zmuszony był zmienić postać i stał się chipem w karku Czajnika, od czego z drugiej strony uciekał. Usłyszał kilka słów i dał Czajnikowi spokój. Każdy ma prawo do prywatności. Po chwili dał się ponieść odruchowi i przybrał postać gwiazdy - tym razem neutronowej na obrzeżach Andromedy. Znowu zachwycający widok. Myślał.

Dawno temu, w czasach kluskowego boomu, kiedy o właściwościach shivy nie wiedziano nic, a Moravstschitz był nikomu nie znanym naukowcem z małego uniwerku w zapadłej dziurze, kilku hakerów zaczęło rozpracowywać kody wejściowe do Grand Bank Amerika w Las Palmas. Bank był wielką pralnią narkotykowych pieniędzy, hakerzy działali więc bez wyrzutów sumienia. Bez poczucia, że okradają biednych, ciułających szaraków. Działali nie wiedząc o sobie nawzajem. Żyli w różnych miejscach. Mieszkali w czterech dzielnicach miasta, w czterech stronach rozpadającego się zgodnie z prawem rosnącej entropii ludzkiego kłębowiska i przypadek

sprawił, że zabrali się za ten bank jednocześnie. Była w tej czwórce i Doris, która włamała się pierwsza i zwinęła z miliardowego konta jakiegoś mafiozo kilkadziesiąt tysięcy. Nigdy nie zwijaj zbyt wiele, bo zaczną cię ścigać - znana zasada. Za wszystkie te pieniądze kupiła kluski. Pozostali, kiedy już się włamali, postąpili podobnie. Tylko że oni swoje kluski zjedli, a Doris zaczęła je sprzedawać.

Czasy kluskowego boomu to epizod z początków eksploatacji złóż shivy. Pierwsze dostawy tego specyfiku nie były sensownie wykorzystywane. Wszystko z powodu niewiedzy. Shiva zmieszana z wodą zmienia właściwości. Uprymitywnia i słyca. Efektem ubocznym jest absurdalne umiłowanie klusek. Kluski można jeść, wachać, oglądać, zachwycać się ich kształtem, linią pofałdowań, drobnymi różnicami smakowymi. Kluski muszą być ciepłe. Kiedy odkryto to zjawisko, jakaś terrorystyczna organizacja wrzuciła do miejskiej instalacji wodociągowej cały zrabowany z wojskowych laboratoriów transport shivy. Shiva zmieszała się z wodą kranową i miasto zaczęło jeść kluski. Poza tym zmiany były niewielkie. Potem profesor Moravstschitz zauważył, że smakosze, jak nazywano fanatyków klusek, są uodpornieni na oświecające działanie shivy i zaczęto używać ich do jej wydobycia. Wcześniej kosmonauci pracujący w złożach ulegali z czasem samoistnemu oświeceniu, co powodowało straty finansowe. Oświeceni nie mieli co ze sobą zrobić, więc

przechodzili w niebyt. Trzeba było wysłać wciąż nowe załogi, które powracały zdziesiątkowane. Po odkryciu Moravstschitza wydobycie ruszyło pełną parą. A Doris, która nie piła wody z kranu, sprzedała swoje kluski i wyjechała z miasta. Skończyła z crackerstewem. Pieniądze straciła w kasynach. Potem zaczęła pracować dla zoo.

Czajnik poczuł się jak bohater telenoweli.

- To nieprawda! - krzyknął. Po raz kolejny wydawało mu się, że ona usiłuje przeinaczyć najoczywistsze fakty w taki sposób, aby potwierdzały jej zarzuty. Zresztą... Nie pamiętał już, o co się pokłócili i co to za fakty. A może jednak w jej słowach coś jest? Prawda leży po środku.

- Zawsze odwracasz kota ogonem, byle udowodnić, że masz rację.

- Więc uważasz, że wszystko sobie wymyśliłam?

- Nie. Uważam, że kłótnie sprawiają nam obojgu zboczoną przyjemność. Ja już nie wiem, o co nam poszło. Ty pewnie też. Może więc przejdziemy na normalniejsze sposoby zaspokajania żądz?

Powiedziawszy to, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Opierała się, lecz był nachalny. Potrafił być delikatny i podobała się jej jego delikatność. Potrafił być nachalny i podobała się jej w nim nachalność. A on nie wiedział nigdy, czy kiedy się bronila, robiła to, aby sprawić sobie jeszcze większą przyjemność ("zgwałć mnie... no zgwałć..."), czy

bronila się naprawdę. Nigdy nie dysponował dostatecznym zmysłem wycucia sytuacji, którym Bóg tak hojnie obdarzył nielicznych. Był jak słoń w składzie porcelany - używając pospolitego porównania. Przewrócili się na łóżko i zaczęli zdzierać z siebie ubrania. Ich wzajemna fascynacja swoimi ciałami była wtedy bardzo silna. Już prawie naga, wyrwała mu się gwałtownie.

- Nie! Znowu to samo! Mówię coś, a ty nie odpowiadasz, tylko uciekasz w seks. To nie ma sensu.

- O co ci chodzi?

- O to, że jesteś nieudacznikiem. Nigdy nie będziesz w stanie zapewnić mi bezpieczeństwa. W tym momencie to ja zapewniam bezpieczeństwo tobie. Przecież ścigają cię za morderstwo. I to w dodatku takie, którego nie popełniłeś. Czy gdybym popełnił morderstwo, byłbym mniejszym nieudacznikiem? - zastanowił się Czajnik.

- A ja ściągam ci siecią tajne wojskowe informacje, za które wiele firm zapłaciłoby miliony. Ty z kolei oddajesz je zoo za marne grosze. I kto tu jest nieudacznikiem? Czy gdybym nie ratowała delfina topielca, który chwilowo nie istnieje (jakie to pokręcone), nie byłabym nieudacznikiem?

- przemknęło przez głowę Doris, ale nie zastanawiała się, tylko rzuciła w Czajnika poduszką. Jej reakcja była szybka i właściwa. Żadnych schizoidalnych zahamowań i przemyśleń. Podczas kłótni tylko czucie. Poduszka, którą rzuciła, była

Zygm. Zygi czuł się zażenowany sytuacją. Zachciało mu się rzygać. Postanowił przeistoczyć się w czarną dziurę w centrum odległej galaktyki. Nie przekraczać horyzontu zdarzeń aż do kolejnej porcji shivy.

- To co innego. Zresztą... I tak pewnie nie potrafiłbyś tych informacji sprzedać. Bogate życie na satelicie, co? Albo oświecanie shivą? Już to widzę... Nigdy nie będziesz miał przy sobie więcej niż dwa dolary. Choćbyś obrabował najbogatszy bank świata. Choćby to było wbrew logice.

Czajnik zaśmiał się. Wiedział, że w gruncie rzeczy ona ma rację. Troska o rzeczy materialne, o siebie samego, o kogoś... Nigdy nie był w tym mocny. Nigdy nie musiał.

Zaśmiała się. Znowu rzucili się na siebie jak spragnione zwierzęta. Kochali się całą noc.

Rano komornik wyrzucił ich z mieszkania. Od dwóch miesięcy nie płacili czynszu. Tym samym Czajnik nie mógł dokonać sfigowanego przelewu na swoje konto. Ktoś z bankowości uwziął się na niego. Sposób działania Czajnika był nowy, ale już rozpracowany. Dwa miesiące temu omal go nie namierzyli. Teraz musiał zmienić osobowość i bank. Tylko jak to zrobić, skoro nie ma się pieniędzy? Odkąd delfin się utopił, zoo płaciło zbyt mało. Zoo powoli zbliżało się do bankructwa. Brazylijski serial dobiegał końca.

Świat z punktu widzenia ćpającego Buddy nie jest koniecznością. Jego rozciągłość w czasie i przestrzeni ma się

tak do całości jak woda do wiaderka. Cokolwiek to znaczy, ma się tak do świata jak szczoteczka do zębów albo proszek do prania. Ewentualnie tabletki do bólu głowy. Nie znaczy to nic. Jest bez sensu. Nie przedstawia absolutnie żadnej wartości. Dlatego właśnie Buddowie ćpają shivę. Pozwala im ona cieszyć się iluzją, której częścią jest ten właśnie wydobywany z kosmicznej próżni specyfik. Próżnia jest pustką, jeśli nie liczyć jej trzech wymiarów i czasu, w którym trwa. Czyli wiaderka na wodę. Wiaderka na shivę. Nazwa jakoś tak się już utarła, choć nie ma zbyt sensownego związku z Buddyzmem. Z Sziwą. Proszek do bólu głowy. Albo też od bólu głowy. Myśli ćpającego shivę Buddy nie są zazwyczaj zbyt sensowne. Wszystko to nie ma jednak znaczenia, gdyż oświecenie nie jest procesem opartym na logicznym rozumowaniu, lecz na poznaniu. Im bardziej rozumiesz, że twój umysł błądzi, tym bliżej jesteś poznania. Ewentualnie Wrocławia. Zależy, dokąd zmierzasz. Zygi przebywał pod postacią myśli w swojej głowie, której to głowy nie było. Myśli te ułożyły się w powyższy ciąg wyrazów. Wszystko to nie było już dla niego ważne. Miało jednak znaczenie dla Czajnika, dla jego piegowatej rzeczoznawczynie Doris, dla dyrektora zoo Karlschvinna i dla kilku innych osób. W ten właśnie sposób Zygi podjął bowiem decyzję, czy pracować dalej jako wywiadowca przemysłowy. Choć wcale tego nie widać. Zresztą... Cokolwiek by te myśli znaczyły, i tak można

by je odczytać w dowolny sposób. Nadużywanie wyrazu "znaczyć" nie ma znaczenia.

Fragment zapisków w podręcznej pamięci wszczepionej.

Głowa Czajnika, gdzieś z tyłu czaszki, kilkanaście mikroskopijnych chipów RAM'u po kilkaset gigabajtów każdy. Na pograniczu wydolności fizycznej materii. Jego notatnik, pamiętnik, encyklopedia, dane sieciowe. Możliwość zapisu wspomnień wizualnych, słuchowych, dotykowych albo wszystkiego na raz w jakości autentycznych przeżyć.

Najczęściej wykorzystywane przez posiadaczy do utrwalania najlepszych doświadczeń seksualnych. Czajnik zanotował gdzieś między danymi o kodach wejściowych kolejnego banku, za który chciał się zabrać, a szczegółowym utrwaleniem obrazu i dotyku ciała Doris:

GRAFOMAŃSKI OPIS INTYMNYCH PRZEŻYĆ

PSYCHICZNYCH

czyli

ANTYPOEMAT DO NIEŻYWEJ DZIEWCZYNY O NIE

ZAPAMIĘTANYM IMIENIU

Na moich rękach jest krew dziewczyny.

Nie mogłem jej pomóc, choć nie znam przyczyny.

...

Na moich rękach jest twoja krew

Z małego pokoju przy Babylon Square.

Gdy kocham się z Doris, bo pragnę kobiety,

Wydaje mi się, że to jesteście.

(jesteście, jesteście - to nowe słowo,
co się rymuje i jest fajowo)

Nie widzę jej twarzy, nie widzę jej ciała.

Umarła dziewczyno - pojawiaasz się cała.

I choć imienia już nie pamiętam

Wiem, że nie Doris jest przy mnie wtedy

(I rymować nawet mi się przestaje)

Były to dni, kiedy Czajnik zaczynał tracić kontakt z
rzeczywistością. Przez dwie doby koczowali z Doris na ulicy i
czekał tylko, kiedy Doris opuści takiego frajera jak on.

Później dyrektor Karlschvinn, który został powiadomiony
przez Zygiego o sytuacji swojej asystentki i jej crackera,
zorganizował im lokum w zoo, w klatce po ostatnim łosiu
padłym kilka dni wcześniej. Zamknięci tam jak wymierające
okazy cudów fauny ściągali mu siecią tajną wojskową
technologię. W nocy kochali się jak zwierzęta, a Doris stawała
się coraz bardziej agresywna seksualnie. Czajnik natomiast nie
widział już w niej Doris, lecz tamtą dziewczynę z hotelu przy
Babylon Square. Trwało to jakieś dwa tygodnie i aż trudno
uwierzyć, że Doris nie domyśliła się, za kogo bierze ją
Czajnik. Zwłaszcza, gdy pytał: "Kto cię zabił?" Myślała, że co
innego ma na myśli. Były to dni, kiedy kłócili się non stop z
przerwami na seks i ściągnięcie danych. Doris sądziła, że
Czajnik pyta, kto cię zmienił, dlaczego nie jesteś taka, jak na

początku naszego związku, dlaczego stałaś się gorsza.

Odpowiadała więc zawsze: "To ty mnie zabiłeś!", co powodowało u Czajnika wzrost poczucia winy. W tych momentach czuł się jak autentyczny morderca. Sytuację taką znosili upijając się w trupa każdego wieczoru. Dyrektor Karlschvinn nie żałował im alkoholu.

A po dwóch tygodniach wszystko skończyło się. Czajnik miał już ściągniętą całą wojskową technologię i przezornie zostawił ją w swojej pamięci wszczepionej. Razem z Doris wyszli z klatki. Ich nie wypowiedziana umowa była jasna i dawała im siłę. Byli spokojni. Byli zrównoważeni. Byli szczęśliwi. Przestali się kłócić. Kochali się jak dzieci.

Doris nie usłyszała nigdy od Czajnika, że zostawia on prawdziwe dane w mikroskopijnych kostkach RAM'u w swojej głowie, podczas gdy dane dla zoo są przez niego zafałszowywane. Doris jednak wiedziała o tym. Wiedziała również, że dyrektor Karlschvinn nie ma zamiaru ratować delfina, a chodzi mu wyłącznie o technologię. Czajnik też o tym wiedział. Nie rozmawiali na ten temat nigdy wcześniej, ale dla obojga było oczywiste, co zrobią teraz. Nie mieli ochoty żyć na ulicy. Na razie tylko wyszli z klatki zajmowanej uprzednio przez ostatni na tej i tamtej półkuli okaz łośia, wkrótce jednak ich sytuacja miała ulec gruntownej zmianie. Na pozór zmiana ta byłaby przede wszystkim finansowa. Ogarnęła ona jednak dużo więcej.

Coś z kluskami było nie tak. Pierwsza zauważyła to szefowa kosmicznej odnogi Misji Międzyplanetarnej Pierwszego Stopnia z prawem pierwokupu napotkanych złóż shivy. Szefowa przecinała przestrzeń między Jowiszem a Saturnem w niecałe dziesięć lat po tym jak Czajnik i Doris wyszli z klatki łosia. Nazwa przedsięwzięcia przemysłowego tytułującego się Misją była długa i dosyć dziwna, lecz były ku temu powody. Szefowa poczuła mdłości i zakomunikowała to jednemu ze swych smakoszy, który jako wydobywający shivę nazywany był funkcjonariuszem. Było to równie dziwaczne jak nazwanie przedsiębiorstwa Misją Międzyplanetarną albo jak umiłowanie klusek przez pracujących w nim kosmonautów, wszystko to było jednak w pewien sposób umotywowane. Rzecz w tym, że głupota rodzi głupotę. Popularny wówczas serial telewizyjny wprowadził takie nazwy do obiegu. Przedsiębiorcy wydobywający shivę, chcąc przyciągnąć smakoszy do pracy w przestworzach, zapożyczyli więc serialowy inwentarz języka. Chwył sprawdził się, a twórcy scenariusza serialu ściągali gigantyczne kwoty za prawa autorskie do nazw własnych.

Szefowa zakomunikowała funkcjonariuszowi, że nie czuje się dobrze i że nie będzie już dziś pracować, po czym wyrzygała mu się za kołnierz. Ten uczynił to samo. W ten sposób doszli do wniosku, że z kluskami rzeczywiście coś było nie tak. Mieli rację.

Dwa dni później nikt już nie pracował. Z powodu awarii systemu zamkniętego odpowiedzialnego za oczyszczanie zużywanej wody i utrzymanie mikroekosystemu statku w granicach równowagi, stan higieny osiągnął wtedy poziom przerażający. A co działo się później, trudno aż opisać. Śmierć w takich warunkach daleka była od ludzkiego wyobrażenia śmierci godnej. Jeśli takie wyobrażenie w ogóle istnieje.

Tydzień później statek był już wrakiem, pełnym nieważkich nieczystości ludzkich i unoszących się wśród nich martwych ciał załogi. Przecinał złoza shivy lśniące metalicznym blaskiem zimnej pustki, wypełnione tą nie odkrytą tak długo formą materii - nie materią ani antymaterią - wypełnione amaterią. Tak jak człowiek może być prospołecznym, antyspołecznym bądź aspołecznym, materia przyjmować potrafi również te trzy formy egzystencji.

Amateria, będąca stanem nicości, prześwitywała chłodem szarzejącego błękitu, połyskującego gdzieś zamglonym odbłaskiem odbitego światła gwiazd. Przedzierał się przez nią przepiękny obraz nieodległego Jowisza wraz z jego nie kończącą się czerwona burzą na jednej z półkul. Obraz był jednak nieco bledszy i drgający jak na ekranie źle wyregulowanego telewizora. Wydawał się nierealny. Za statkiem, jak kolczatka upstrzonymi antenami, osprzętem i dziwnymi urządzeniami o nieodgadnionym przeznaczeniu, ciągnął się falujący lej ocierającej o jego boki shivy. Tarcie

spowodowało znaczne spowolnienie i martwa maszyna, jeśli nie wydobędzie się ze złoża siłą własnego rozpędu, ugrzęźnie w nim na zawsze. Jak mucha w mleku. Shiva nie dokonała brutalnej eksplozji w zetknięciu z materialnym statkiem, jak uczyniłaby to antymateria, wyzwalając przy okazji sto procent zawartej w materii energii; shiva w ciągu kilkudziesięciu lat swoim powolnym, wytrwałym i konsekwentnym działaniem wyrwie statek z materialnej rzeczywistości i usunie go poza bądź ponad rzeczywistość. Wchłonie go i przeistoczy w amaterię. W shivę. W samą siebie. Niczym ameba. Ale stanie się to tylko wtedy, gdy statek nie zdoła pokonać złoża. W innym wypadku będzie dryfować przez próżnię być może w nieskończoność. Być może do czasu zderzenia z jakimś ciałem niebieskim. Martwa maszyna nie miała jednak zdania co do swej przyszłości. Było jej wszystko jedno. Ogarniał ją spokój i bezruch niczym naćpanego shivą mnicha osiągnącego stan oświecenia.

W ten sposób zaginął ostatni statek wydobywający amaterię dla Misji Międzyplanetarnej Pierwszego Stopnia, a oświecający się właściciel przedsiębiorstwa, którym był Czajnik, odcięty został od shivy. Wszystko to działo się jednak już dużo później... Wkrótce po tym wydarzeniu Czajnik wzbił się w powietrze i zawisł.

Źle uwarunkowani ludzie tworzą źle uwarunkowanych ludzi. Błędy powielają się. Można próbować to przerwać.

Wyrwać się niczym z koła samsary. Można też wszystko zignorować i spróbować żyć, doświadczać, szaleć i zobaczyć, czy da się być szczęśliwym. Utonąć w kolorycie życia. Tłumy podziwiające Czajnika znieruchomiłego w powietrzu jakieś pół metra nad spękany chodnikiem w rogu placu Babylon Square we wciąż niezmiennym wysokości - te tłumy wydają się wierzyć, że jego dziwna sytuacja jest właśnie przerwaniem błędnego koła. Wokół płoną znicze, sprzedawane są koszulki z jego podobizną. Błyskają flesze. Japończycy robią sobie z nim zdjęcia. Nie mogą przekroczyć barierki dla turystów. Przepychanka z ochroną. Czarne koszulki z białym napisem "SECURITY" wypchane kwadratowymi ciałami tęgich kfarów chroniących to widmo z zaświatów przed natarczywością odwiedzających. Widmo, które przynosi miastu tak duże zyski. Czajniko-biznes utrzymuje przy życiu wiele istnień.

Wzbiecie się Czajnika w powietrze było po części skutkiem działalności złośliwego dziadka siedzącego zazwyczaj na rogu Babylon Square i Trzeciej Poprzecznej, który dogorywając stał się jeszcze bardziej złośliwy - nie tylko podstawiał nogi, lecz pluł, a także kopał i rzucał przedmiotami. Chcąc się uchronić przed jego nagłym atakiem, Czajnik, gdy przechodził tamtędy niecałe dziesięć lat po wyjściu z klatki, dziewięć po sprzedaży nielegalnie ściągniętej sieci zawartości swojej pamięci wszczepionej do również swojej kanciastej głowy z

odstającymi uszami, dwa dni po śmierci załogi statku wydobywającego shivę z kosmicznej pustki, mogącego w shivie później utknąć jak mucha w mleku, więc gdy Czajnik przechodził wtedy skosem obok małego taniego hoteliku przy Babylon Square patrząc nieświadomie w stronę kostropatych murów z przeciwnej strony, pokrytych napisami i rysunkami w stylu pornografitti jak osiadły wrak wodorostami, Czajnik zmuszony był wtedy uskoczyć przed rzuconym przez starca kamieniem i puszczone pod nogi wózkiem z supermarketu. Uskoczył, znieruchomiał w powietrzu i pozostał w tej pozycji do dnia dzisiejszego. Miasto jest mu bardzo wdzięczne.

Wzrosły zyski z turystyki.

Dużo wcześniej, wkrótce po tym, jak opuścili z Doris zoo, zaczął pokątnie spotykać się z dziwnymi facetami w ciemnych garniturach. Zazwyczaj w miejscach ustronnych. Na przykład w małych kawiarenkach na obrzeżach wschodniej dzielnicy. Facetom sterczały z ust cygara, spod szerokich rond czarnych kapeluszy połyskiwały odbłaski świateł ulicznych odbite w ciemnych okularach. Ich ciemne płaszcze spływały na podłogę, gdy siadali i snuli szeptem ciemne machlojki w ciemnych wnętrzach. Wszystko było ciemne. I w takich warunkach doszło do tego ciemnego interesu - Czajnik sprzedał zawartość swojej pamięci wszczepionej firmie specjalizującej się w produkcji sztucznych inteligencji. Tajne cuda inżynierii genetycznej wyrosłe w wojskowych

laboratoriach pozwalały wyhodować Einsteina w kilka miesięcy, a Czajnikowi pozwoliły podwyższyć stopę życiową. Zarobił kilkadziesiąt milionów dolarów. Doris przestała mieć go za nieudacznika. Zamieszkali w luksusowym apartamencie na zachodnich przedmieściach. Kupili drogi samochód. Wybudowali sztuczny ogród z dużą liczbą autentycznych, ekskluzywnych roślin i z prawdziwym nieklonowanym kotem. W tamtych dniach Czajnik czuł, że żyje naprawdę. Doris podobnie. Ich stosunki nie były jeszcze złe, jak stało się później. Co jakiś czas wyjeżdżali do Meksyku albo na Alaskę. Na Alasce poderwali niezłą laskę. Odprawili święto gaszenia lamp i zaczęli ćwiczyć seksualną jogę. Czajnik złamał nogę. Skakali ze spadochronami i unosili się w powietrzu jak pyłki. Czasem przesadzali z używkami. Wszelakimi. Czasem zbyt często. Nie grało to roli. Nie musieli pracować na roli. Nie musieli być hakerami ani crackerami. Cieszyli się wszelkimi cudami świata. Czajnik zaczął hodować sałatę. Sałata to niezwykle droga, wymierająca roślina, nie lada luksus i niewielu snobów może sobie na nią pozwolić. Czajnik rozdawał ją biedakom, czego ci nie byli w stanie docenić. Od razu zjadali. Potem mówili, że niesmaczne, a ich twarze wykrzywiały się jak w trakcie operacji cyfrowej obróbki obrazu, co Czajnikowi przywodziło na myśl lata spędzone w sieci. Wydobywał wizerunki swojej pierwszej nieszczęśliwej miłości, jeszcze z podstawówki, wydobywał jej zdjęcia z

sieciowych serwerów graficznych, gdzie pozowała jako cyfrowa modelka w trzech wymiarach. Potem, aby się odkochać, zniekształcał szkaradnie jej twarz w programach graficznych. Było to wkrótce po tym, jak rodzice przestali zamykać go w lodówce, bo nabywszy odpowiednich umiejętności hakerskich ze szkolnego komputera przeprogramował termostat, aby temperatura wewnątrz nie spadała poniżej 20°C.

Kiedy Czajnik rozdał już całą sałatę, do jego drzwi zapukał policjant. Wyjął kajdanki. Założył mu na przeguby powyżej dłoni. Dużo mówił o pewnym pokoiku hotelowym przy Babylon Square. O zabitej dziewczynie. Czajnik był pijany jak świnia i nie pamięta wizyty. Zresztą nie ma czego pamiętać. Leżał skuty alkoholem i policyjnymi kajdankami na luksusowej kanapie wodnej. Doris zapłaciła policjantowi kilkanaście tysięcy, a ten poszedł sobie. Wcześniej otworzył kajdanki. Zgasił marihuanowego papierosa. Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Czajnik nie chciał wylądować w więzieniu za morderstwo, którego nie popełnił. A kolejny gliniarz mógłby okazać się nieprzekupny. Następnego dnia opuścili więc z Doris miasto. Słuch o nich zaginął. Chcieli zniknąć przede wszystkim dla policji. Zniknęli jednak dla wszystkich. Zniknęli aż do czasu Czajnikowego wzbicia się w powietrze. Przed tym dziwnym powrotem założyli największą w układzie słonecznym

korporację wydobywającą shivę. Potem doprowadzili ją do ruiny.

- Zupa dupa! Nic z tego nie wyjdzie!

- Zamknij się i wklepuj program.

Czajnik stworzył algorytm, który Dzikie miał wpisać do komputera pokładowego swojego wirtualnego statku. W ten sposób zawiesiłby funkcjonowanie gry, której był bohaterem, nie musiałby uciekać przed Gumisiami z Matplanety i mógłby zająć się czymś bardziej pożytecznym. Automat do gry został przez Czajnika wykupiony tydzień wcześniej i stał teraz w rogu apartamentu we wnętrzu sztucznego satelity Ziemi - nowego lokum Czajnika i Doris. Lokum, do którego gliniarze nie będą w stanie trafić. Prywatne satelity wypoczynkowe są poza wszelką kontrolą. I poza prawem.

- Zawieszysz symulację mojego umysłu i przestanę istnieć.

Będziesz mordercą.

- Niektórzy myślą, że już jestem.

Czajnik ignorował marudzenie Dzikiego. Odłączył się od sprzętu. Wcześniej przelał kod stworzonego programu ze swojej wszczepionej w czaszkę pamięci do automatu z salonu gier. Dzikie miał go teraz w postaci wirtualnego zwoju wydruków.

- A jeżeli popełnię błąd przy przepisywaniu? Jeżeli system się wtedy zawiesi?

- Nic się nie stanie i zostaniesz kapitanem prawdziwego

statku - odpowiedział i wyjął wtyki komunikacji audiowizualnej ze swojego karku. Dzik, czyli eks-kapitan Marcheva ze statku Zielone Warzywo, miał zostać pierwszym pilotem wydobywającym shivę dla nowo powstałej korporacji o nazwie Misja Międzyplanetarna Pierwszego Stopnia z prawem pierwokupu napotkanych złóż shivy. Automat do gry symulujący jego umysł miał być podłączony bezpośrednio do panelu sterowania statku korporacji. Właściciele przedsięwzięcia to Czajnik i Doris.

- A co z klonami mojej świadomości w pozostałych automatach do gier? Przecież wyszły ich tysiące? - pytał stukając w klawiaturę komputera pokładowego. Nie słyszał go nikt. Symulacja była chwilowo zapętłona i po pięciu minutach ruszała od nowa. Aby zdążyć przed pojawieniem się pierwszego Gumisia, który zapewne wchłonąłby Dzikiego, jego zadrukowane zwoje papieru i cały pokładowy komputer, będący w gruncie rzeczy wewnętrznym interfejsem. Musiał więc zdążyć wpisać program w ciągu tych pięciu minut. Jeśli nie zdążył, musiał zaczynać od nowa. Po każdym wznowieniu dane były tracone. Jego sytuacja przypominała pracę Syzyfa. Miał nadzieję, że za dwusetnym razem nabierze takiej wprawy, że zdąży zrobić to bezbłędnie i uruchomi zbawienny algorytm. Potem, że uda mu się za trzysetnym. Nigdy więcej wchłaniającej galarety. Zamknąć się, wklepać program. Dyrektor Karlschvinn chciał Zygiego zabić. Nie było to

jednak możliwe. Jedyne, co mógł, to odciąć go od shivy na zawsze. Tak mu się przynajmniej wydawało. W biurze informacji dla zatrudniających bezistnieniowców pojawiła się więc odpowiednia notatka o Zygim. Niewykonanie zleconego zadania i kolaboracja ze śledzonym oznaczały, że nikt już nigdy nie zatrudni takiego wywiadowcy przemysłowego. Zygi pozwolił przecież na dostarczenie bezwartościowych śmieci, mających udawać tajną technologię przeróbek genetycznych. Pozwolił wykiwać dyrektora nic nie znaczącemu hakerowi, który niezafalszowane dane sprzedał później za grube miliony. W międzyczasie, nie wiedząc jeszcze, że stał się posiadaczem steku bzdur, Karlschvinn polecił swoim specjalistom klonować ostatniego delfina z komórek pozostałych w ocalałej płetwie. Chciał, aby przy okazji przetestowali zdobytą przez niego technologię manipulacji genetycznych, pozwalającą na kształtowanie układu nerwowego i mózgu wedle widzimisię naukowcy-demiurga, tworzącego żywą istotę niczym Bóg na haju. Delfin miał więc być umysłową kopią Stephena Hawkinga, którego komórki dyrektor zakupił w banku genów dla rodziców pragnących genialnego potomstwa, zbytnio zarazem nie dokazującego. Doris zmartwiłaby się widząc twór, jaki powstał w wyniku eksperymentu. Zapewne nie spałaby przez kilka nocy, płacząc cicho w poduszkę i myśląc o bezwzględnej i beznamiętnej ludzkiej bezmyślności łączącej wydarzenia w absurdalne

związki przyczynowo-skutkowe. Była częścią tej dziwnej siatki, choćby nie chciała i zażywała nawet dwukrotnie większe dawki walium, aby zmniejszyć ból tej cholernej świadomości. Żal i płacz bezradnego dziecka. Wszystkie decyzje podejmujemy bądź ignorując pewne przesłanki, bądź nie posiadając odpowiedniej wiedzy o alternatywach i skutkach, bo takiej wiedzy posiadać nie możemy. Biedna Doris nie mogłaby nic już zmienić. Chaotyczne usterki i zakłamania wprowadzone do danych zdobytych przez Czajnika spowodowały, że delfin stał się schizofrenicznym geniuszem-idiotą, rzucał mięsem jak doprowadzona do szału babcia klozetowa, konstruował zmyślnie pułapki na pływającego w jego zbiorniku rekina, nauczył się czytać i grzebiąc w umieszczonej pod wodą specjalnej końcówce bibliotecznego komputera zgłębiał wiedzę tajemną średniowiecznych alchemików i przeglądał sieciową pornografię zwierzęcą. W końcu ogłosił się władcą świata i królem zwierząt oraz ludzi, czyli istot niższych, denerwujących i szkodliwych. Ze względu na te szalone cechy delfin stał się nieopisaną atrakcją upadającego zoo; liczba sprzedawanych biletów wzrosła. Liczni odwiedzający nie zastanawiali się nad absurdalnymi ciągami wydarzeń, jak uczyniłaby Doris, tylko bili brawo lub patrzyli na ciekawostkę jak na ciekawostkę, choć nic z takiego patrzenia nie wynikało poza tym, że Park "The Last Forest" zaczął znów dźwigać się

z finansowego nokautu i stawał gotów do walki w ringu wolnorynkowej dżungli.

Również ze względu na te nieoczekiwane cechy psychiczne ostatniego na tej półkuli delfina dyrektor Karlschvinn zapałał do niego miłością chorą. Cóż mu bowiem pozostało - nie zdobył upragnionej technologii, która pozwoliłaby mu zyskać prawdziwe pieniądze i opuścić tak przez niego znienawidzone zoo, pełne umierających ostatnich okazów. Dyrektor nie mógł pokochać zwierząt, nie mających zresztą już zbyt wiele wspólnego z naturalnymi pierwowzorami - zwierząt zamkniętych w klatkach, chorych i w wyniku częstych, nie najwyższej jakości klonowań, mających zniekształcony materiał dziedziczenia, pełen wad i nieoczekiwanych uszczerbków. Zwierzęta mutanty, zwierzęta muły, bezpłodne i ułomne, z rachitycznymi powykrzywianymi kończynami, z ogonami nie w tym miejscu, dwugłowe bądź głowy pozbawione, z rogami na grzbiecie bądź brzuchu, z uszami na czole i skrzydłami bez piór. Czy ma to coś wspólnego z zabitą przez nas przyrodą? - myślał dyrektor i nienawidził zoo, nienawidził klatek, nienawidził zwierząt. Pokochał jednak delfina będącego ostatecznym zaprzeczeniem natury. Pokochał z czystego cynizmu i na przekór wszystkim, którzy istoty w klatkach nazywali zwierzętami. Szalony umysł wodnego ssaka był jego fascynacją. Prowadzili długie rozmowy, pełne przekleństw, filozofii, szalonych skoków

uczuciowych, pełne bzdur i mądrości, zrozumienia i niezrozumienia, własnych ambicji uśmierconych przez Czajnika i szalonej, parodystycznej wizji nieograniczonej władzy Króla Ssaków, jakim to tytułem kazał się nieszczęśnik delfin określać. Obaj byli dla siebie nadwornymi błaznami. Obaj nie potrafili bez siebie żyć. Ich związek był silny jak tytan i twardy jak diament.

I to właśnie stawało się dla dyrektora groźne. Zniszczone cyniczne ambicje poczęły znajdować ujście nie tylko na sposób intelektualny, lecz w miłości. Coraz więcej było między nimi elementów natury fizycznej, coraz bardziej wykraczających ponad związek zwierzę-człowiek w normalnym tego pojęcia rozumieniu. Wspólne pływanie przechodziło we wspólne posiłki, wspólną toaletę, wspólne oglądanie sieciowej pornografii... Z czasem dyrektor zaczął bać się, że posunie się dalej, że w końcu dopuści się zoofilii, że zacznie uprawiać z Królem Ssaków miłość. Opanowywał się z trudem. Fascynacja chorym umysłem przechodziła w chorą fascynację ciałem nie swego gatunku i swej własnej płci. Zgłębiał więc filozoficzne zawiłości fenomenologii i usiłował wszystko wziąć w nawias. Nie potrafił jednak.

Powodowało to groteskowe sytuacje. Jestem normalny - powtarzał sobie dyrektor biorąc coraz częstsze zimne prysznic, bicząc się pokątnie paskiem od spodni z ciężką metalową klamrą. Pracownicy przytapywali go zamkniętego w

szafie na narzędzia bądź w schowku na szczotki, gdy dokonywał oczyszczających rytuałów pojękując z cicha, lecz ignorował upokorzenia. Ważniejsza była idea. Musiał utrzymać stosunki z delfinem na poziomie czysto intelektualnym. Nie skazić metafizyki brudem biologii. Niech miłość pozostanie wyłącznie platońską.

Wreszcie dyrektor postanowił przeistoczyć swe pożądanie w agresję skierowaną na zewnątrz i zaprzysiął pomstę na Czajniku - sprawcy ostatnich nieszczęść i cierpień. Król Ssaków był jego towarzyszem w swych planach oraz sadystycznym współautorem harmonogramu tortur średniowiecznych, jakim Czajnik miał zostać poddany.

Wcześniej jednak Czajnika należało odnaleźć, usidlić, schwytać i dostarczyć. Tutaj dyrektor znów zasięgnąć musiał pomocy oświeconego, tylko w przeciwieństwie do Zygiego, lojalnego bez reszty. I tak w dwa lata po ostatniej wizycie, kiedy to zaskarżał Zygiego, Karlschvinn ponownie udał się do biur informacji i pośrednictw pracy oferujących usługi bezistnieniowców. Wkrótce potem zaczął dopuszczać się pierwszych aktów zoofilii, które, wbrew jego obawom, jeszcze bardziej umocniły więź z delfinem i obopólne pragnienie pomsty. Potrafili razem stworzyć tomy filozoficznych traktatów na dowolne tematy, lecz potrzebowali działania. Ich miłość musiała przekształcić się we wspólny czyn, którego ofiarą paść miał haker o imieniu rodem z

gazowej kuchenki starego typu. Haker tymczasem opływał w luksusy na pokładzie prywatnego satelity wypoczynkowego na orbicie tej planety lub bawił się w najdroższych turystycznych ośrodkach starej Ziemi, gdzie nikt nie pyta, kim jesteś, lecz ile masz pieniędzy. Prawdę mówiąc, haker nie znajdował w luksusowym życiu tego, czego szukał. I nie znajdzie tego nigdy, choć szukał będzie na wiele sposobów.

Założoną przez Czajnika i Doris firmę często odwiedzał Zygi. Częstował się pierwszymi dostawami shivy ściąganych z okolic Jowisza. Testował towar.

- Wyśmienita! - przemówił raz zmaterializowany pod postacią Statui Wolności. - Czuję lekkie domieszki nadmaterialnego kwasu bezcelowego.

Posążek stał na biurku Czajnika obok chorągiewki z firmowym znakiem Misji Międzyplanetarnej Pierwszego Stopnia - białym obrysem trójkąta z planetą Jowisz zamiast oka Opatrzności wewnątrz. Wszystko to na ciemnym tle kosmicznej pustki, usianej drobniejszymi gwiazdami jak dziurawy koc punkcikami przedzierającego się światła. Znak pojawiał się wszędzie w otoczeniu Czajnika, aż ten zaczynał mieć go dosyć.

- Zawsze, kiedy wymiary mieszają mi się z przegięciami czasoprzestrzeni, tracę poczucie czasu. Z mojego punktu widzenia rzeczywistość wygląda nieraz dosyć dziwnie - powiedział Zygi zerkając w stronę pojemnika z shivą.

- Tylko bez przegieć. Nie dam ci kolejnej uncji.

- Niedługo będziesz mnie potrzebował. Wtedy nie usłyszę od ciebie odmowy, stary dupku - wycedził patriotycznym tonem amerykańskiego symbolu wolności i opuścił rozmówcę przekształcając się w czarną dziurę w którejś z odległych galaktyk. Dobra wola Czajnika nie jest najlepszą drogą do shivy - myślał posępnie, aż gwiazda z układu, którego drugim końcem był wchłaniający ją Zygi-dziura, zaczęła tracić blask. Żadnego przekraczania horyzontu zdarzeń aż do następnej uncji zamruczał jeszcze pod nosem, jak to miał w zwyczaju, i odszedł w sen dziurawy. Statuetka znikła z biurka Czajnika. Godzinę później w jego otoczeniu zaczęły dziać się rzeczy dziwne.

Jowisz wewnątrz firmowego znaku Misji Międzyplanetarnej przekształcił się w oko. Było to oko bezistnieniowca wynajętego przez Karlschvinna, który właśnie namierzył Czajnika, teraz zaś przyglądał mu się jak drapieżnik ofierze, na którą lada chwila rzuci się rozrywając ją na strzępy. Ten bluźnierczy akt przemienienia z początku nie został przez nikogo zauważony. I wtedy rozległ się krzyk Doris zaatakowanej nagle przez popielniczkę; ciśnięta z dużą siłą nabiła jej na głowie guza. Dziewczyna zaczęła uciekać i chciała zamknąć się w luksusowej łazience wypoczynkowego satelity, nieoczekiwanie została ogłuszona przez drzwi. Zamiast otworzyć się pod wpływem impulsu z fotokomórki,

wyleciały z zawiasów i uderzyły ją w czoło. Czajnik zrozumiał, że Zygi mówił prawdę. Czas nadszedł i potrzebował go. Teraz nie odmówiłby przyjacielowi kolejnej uncji. Małe przepowiednie przyszłości to domena Zygiego. Czajnik wiedział, że jest osaczony i że nie uda mu się niczego uniknąć. Spojrzał na znak swojej korporacji i spotkał się ze wzrokiem nieznanego bezistnienia. Zimne odblaski nie tej strony monety. Ciemnej pustki.

- A więc mnie dopadłeś. Wiem, że nie ucieknę. Proszę cię tylko o jedno. Nie zabijaj Doris.

- Nie interesuje mnie ta idiotka! - zagrział tamten niczym łotrzyk z kiczowatego melodramatu. Potem Czajnik spostrzegł, że kontury przedmiotów zaczynają falować. Duży stół stojący po środku gabinetu odwrócił się białym w jego stronę i przesłaniał obraz pomieszczenia. A on nie potrafił oderwać od niego wzroku, choć usiłował z całej siły. Kiedy wreszcie udało mu się, znajdował się już w klatce wiszącej nad zbiornikiem, w którym pływał ostatni ocalały rekin. Na brzegu stał dyrektor Karlschvinn.

- Witamy w zoo - powiedział, a potem zaczął się śmiać.

Klatka opuszczała się ku powierzchni wody, przecinanej niczym masło płetwą grzbietową rekina kręcącego złowróżbne zawijasy.

Król Ssaków przechodził codzienny atak spazmatycznego słowotoku. Wśród przekleństw i bzdur kryły się wszelkie

mądrości świata. Dzisiaj jednak dominował w wulgarnym, idiotycznie-genialnym bełkocie ton euforyczny. Przez boczne szyby delfinarium widać było bowiem maszyny tortur, na które lada moment trafić miało to, co rekin zostawi z Czajnika.

Medykamenty i chemiczne środki podtrzymywania przytomności powinny sprawić, że nawet jeśli nie będzie to już zbyt duży ochłap mięsa, wciąż będzie świadom swego istnienia i wciąż będzie mógł podziwiać kolejne, wymyślone z móżdżkiem punkty sadystycznego spektaklu. Słowo "podziwiać" ma odcień wybitnie cyniczny - pomyślał delfin i wykrzyknął improwizowany poemat o łamaniu kołem. Nieszczęśliwy byt, wytwór kaprysu przypadków, dysponował ostrym językiem oraz dużym talentem oratorskim i literackim, który często ascetycznie ukrywał rozkoszując się wulgaryzmami i wybuchając atakami pustej wściekłości. Wściekłości uzasadnionej - dlaczego muszę istnieć w tak okaleczonej formie?! Wściekłości bezcelowej - nie mogę przecież w żaden sposób tego zmienić, a nie potrafię się z tym pogodzić!

- Rekin nie chciał go ruszyć! - wrzeszczał dyrektor.

Karlschvinn ciągnął skutego łańcuchem Czajnika po podłodze.

- Skurczybyk nie wiedział, co to jest. Za bardzo przyzwyczał się do mięsa z puszki.

Delfin spojrział na Czajnika, nieświadomego współojca swej przypadkowej, uwarunkowanej chaosem genów, psychiki.

- Rozwiązuje to problem nieprzewidywalności kształtu jego ciała po fazie wstępnej - odpowiedział. - W związku z tym możemy ruszyć z wersją programu przewidzianą dla pełnej liczby kończyn. A więc na koło z nim, skurwiały dyrektorze zoo, Philu Karlświnio - zakończył pieszczotliwie. W tym właśnie momencie, kilkaset kilometrów ponad nimi, Doris ocknęła się we wnętrzu satelity pędzącego przez próżnię. Spojrzała na wyrwane z zawiasów drzwi od łazienki, spojrzała na rozsypaną popielniczkę w przejściu, zobaczyła znak Misji Międzyplanetarnej na ścianie, gdzie w obrysie firmowego trójkąta nie było już wizerunku planety Jowisz, tylko wypalona czarna dziura, zobaczyła odbicie swojej zakrwawionej twarzy w błyszczącej posadzce z autentycznego drewna powleczonego ochronną warstwą połyskującą - zobaczyła to wszystko i nie miała pojęcia, co właściwie się stało. Nie wiedziała nic poza jednym: Czajnik znowu coś spieprzył. Krzyknęła, żeby przyszedł. Nie zjawił się. Zaczęła go szukać.

- Znowu coś spieprzył i znowu ma jakieś kłopoty - powiedziała chwilę później do pustych hangarów zajmowanych przez symulacje tropikalnej plaży i alpejskiego stoku. Na poły wirtualna rzeczywistość nie odpowiedziała ani słowem i Doris pojęła, że wcześniej bądź później, jednak nieodwołalnie w końcu go znienawidzi. Nie potrafiła czekać. Nie potrafiła znieść niepewności. Nie potrafiła być bezsilna.

Nieważne, jak długo miało to trwać. Choćby minutę. Czajnik był po prostu przegrany.

Dyrektor zapinał mu teraz na nadgarstkach specjalny system obręczy i łańcuchów mający wyginać kości pod kątem sprawiającym największy ból. Uśmiechał się. Skończył przygotowania i dał Czajnikowi prztyczka w nos, żeby ten przestał patrzeć w sufit nieobecny spojrzeniem. Nie poskutkowało. Odszedł włączyć maszynę. Koła naciągowe skrzypnęły. Kołatały się lekko na boki w obudowie stylizowanej na średniowieczny salon tortur. Przypominały urządzenia z tunelu strachu w wesołym miasteczku. Łańcuchy zaszeleściły i chrzęstnęły kości. Ze stołu, na którym leżał główny aktor przedstawienia, rozległ się nieludzki krzyk. Tylko że chwilę potem Czajnik po prostu zniknął. Wbrew prawom starej fizyki. Zygi dotrzymał obietnicy i wyrwał go z opresji.

Dyrektor zaklął.

A Doris odwróciła się.

- So, I open the door. I'm a loser, baby, so why don't you kill me? - usłyszała, jak ktoś nuci od drzwi do tropikalnego hangaru. Stał tam.

- Nikt już nie pamięta tej piosenki. Nikt nie będzie pamiętał ciebie, jeśli przegrasz. Na pewno nie ja.

- Nie przegram.

Opowiedział jej, co właściwie zaszło. Od tej pory zdany

był na łaskę Zygięgo. Musiał karmić go wydobywaną przez korporację shivą. Nie była to duża cena za życie. Właściwie nic go to nie kosztowało. Zygi zapewniał sobie dostęp do amaterii oznaczający przetrwanie pod postacią ćpającego Buddy, chociaż nie był już agentem wywiadu przemysłowego. Czajnik musiał się jednak w końcu od niego uniezależnić. Nie mógł całe życie potrzebować jego mocy i jego pomocy. Musiał więc sam stać się takim jak on.

- Zostanę bezistnieniowcem.

- A jak to wpłynie na moje poczucie pustki? - zapytała

Doris.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wybuchnęli śmiechem.

Elektryczna pielęgniarka nowej generacji to nie jest byle chłam. Elektryczna pielęgniarka jest wyposażonym w pełną ludzką osobowość androidem. Absolutna symulacja czy też miks autentycznych ludzkich osobowości wepchniętych w układy ostatniego pokolenia cyfrowej ewolucji? Nikt tego nie był pewien. Włącznie z samą elektryczną pielęgniarką.

Elektryczna pielęgniarka wyposażona w funkcjonalną kopię ludzkiego ciała. Praktycznie nieodróżnialną od autentycznego kobiecego. Ani z wyglądu, ani w dotyku. Nawet nago.

Zachowano przecież wszelkie szczegóły natury anatomicznej.

Bardzo seksowna sylwetka z funkcjonalnymi genitaliami.

Towarzyszący im popęd seksualny można było włączyć odpowiednim pilotem, znajdującym się w posiadaniu

ordynatorów szpitali. Czasem robili to po godzinach, kiedy brakowało czasu, aby wrócić do domu. Elektryczna pielęgniarka była więc całkowicie funkcjonalną kopią ludzkiej osoby, a nawet przewyższała człowieka zrównoważeniem emocjonalnym i pracowitością. Na ogół. Nic dziwnego, że cieszyła się powodzeniem nie tylko w roli pielęgniarki, lecz kupowano ją także jako kochankę. Małżeństwo z maszyną było zakazane prawnie, tylko konkubinaty wchodziły zatem w rachubę.

Elektryczna pielęgniarka nr seryjny 576-332-003-UXV zatrudniona w prywatnym szpitalu nr 14 w Dzielnicy Północnej, ochrzczona przez przełożonych i resztę personelu Sylwią, była klasycznym produktem tego typu. Tak się przecież zachowywała, tak wydawała się odczuwać, że zgodnie z zasadami testu Turinga przyjmować się powinno, że tak odczuwała, traktowana więc była jak człowiek. Przez wszystkich z wyjątkiem ordynatora, który jako posiadacz pilota z kodem dostępu do jej popędu czasem wykorzystywał ją seksualnie.

Eks-kapitan Marcheua odczuwał statek jako swoje własne ciało. Powracał właśnie ze złóż i ładownia wypchana była po brzegi. Czuł się więc syty. Smakosze spali w narkotycznym śnie mającym skrócić trudy podróży. Nie odczuwał więc doskwierającej działalności insektów. Pomachał prawą baterią słoneczną układając jej płyty w kształt przypominający dłoń.

Ten powitalny gest rodem z kreskówki miał pozdrawiać mały punkcik na czarnym tle kosmosu nad owalnym horyzontem Ziemi. Punkcik, który zbliżając się rósł w oczach, aż stał się na tyle duży, że Dziki mógł rozpoznać w nim znajome kształty Czajnikowego satelity wypoczynkowego, za którym ciągnął się połączony z nim zwojami przewodów gigantyczny hangar do przechowywania wydobytej shivy. Automat do gry symulujący jego umysł, teraz sprzężony z panelem sterowania statku, rozbłył napisami reklamującymi stary salon gier. Nikt ich nie usunął, nie było to jednak ważne. Dziki czuł się, jakby wracał do domu.

Na satelicie trwała impreza z okazji osiągnięcia przez Czajnika pierwszego stopnia iluminacji. Ten przetaczał się lewitując czasem z lekka między tłumem bawiących się i pijących gości. "Całe to oświetlenie to ściema" - myślał.

"Kilka reakcji chemicznych, cyrkowe sztuczki nowej fizyki i możesz udawać prestidigitatora..."

- Utleniłeś włosy? - zapytała stara znajoma Kew.

- Oświetlenie zaczyna się od owłosienia. Postępuje w głąb, kończąc się na mózgowiu - wyjaśnił. Potem ktoś zaproponował orgię i część zgromadzonych udała się do hangaru tropikalnego. "Jestem przegrany. I mam prawo być przegrany. Wkrótce stracę nawet swoją fizyczną materialność w ludzkim sensie tego słowa. I dobrze! Jestem dumny z tego, że jestem przegrany!" - myślał Czajnik. Kilka osób

częstowało się kokainą od przygłupiastego dealera, któremu nie wiadomo jak udało się tutaj wkręcić. Gość w nartach usiłował przepchać się do pomieszczenia z alpejskim zboczem.

- Zbocze jest dla zboczeńców - krzyknęła potrącona kijkiem narciarskim dziewczyna, po czym wciągnęła kokę i udała się w stronę tropików. Przed drzwiami hangaru kilkanaście osób dyskutowało o ubocznych efektach oświecania. "Kogo dziś szokuje orgia na imprezie? Normalka. Taki Kaplitz i jemu podobni twierdzą z oburzeniem, że generacja X przechodzi w degenerację X. Pewnie mają rację. Tylko co z tego?" - myślał oświecający się prestidigitator Czajnik, podczas gdy Kaplitz stwierdził, że nie powinno się spożywać shivy w Wielkim Poście. Pozostali ignorowali jego wywody rozglądając się za heroiną lub obserwując sławniejszych gości. Kilka gwiazd, parę znanych modelek.

- Śliczna pogoda. Jaka śliczna pogoda! - natchniona nastolatka w stroju topless zachwalała instalację klimatyczną Czajnikowego satelity wąsając się jak po plaży. Pewnie hipiska - pomyślał Kaplitz. Czajnik odczytał te jego myśli i dumny ze swych świeżo nabytych umiejętności chciał krzyknąć, że ta hipiska to wynajęta kelnerka, która chyba coś wypaliła, lecz wtedy rozległ się znany mu sygnał. Krowie dzwoneczki jak na górskim pastwisku. Dokowanie. Podwinął długi rękaw i włączył przenośny panel, który nosił zamiast

zegarka. Na monitorce ukazał się Dziki w syntetycznej postaci kapitana Marchevy. "Może i jestem przegrany... Ale on to dopiero przegrał!" - pomyślał Czajnik i uniósł się podekscytowany w powietrze.

- Witamy na pokładzie! - wykrzyknął do miniaturowego mikrofonu na swoim nadgarstku, myśląc: "Im gorzej, tym lepiej", a potem rozdarł się na cały salon:

- Shiva dla wszystkich!

Lewitował podpity nad stołem i przełączał coś w swojej konsolce. "Największą porażką jest sukces..." - wyszeptał pod nosem. Chwilę później wewnętrzna mechanika satelity zaczęła wtłaczać kosmiczny specyfik przez otwory w ścianach. Elektryczni kelnerzy w postaci unoszących się w powietrzu tac podlatywali napełniając kieliszki i szklanki. Wtedy Doris uderzyła Czajnika w twarz. Nienawidziła tych jego pańskich gestów. A on podlewitował w stronę hangaru tropikalnego. Wszedł tam i utonął w tłumie nagich ciał.

Włączył się do orgii.

Bogate obszerne wnętrza podkreślają samotność, myślał teraz patrząc w pusty wizjer. Nic tylko gwiazdy. Doris upłyniła się. Odeszła z prawem do osiemdziesięciu procent korporacji i całej reszty ich wspólnej własności prywatnej. Głupia szmata. Zalegam na swoich dwudziestu procentach, a to i tak dla mnie za dużo, myślał. Zbyt obszerne wnętrza. Lepiej już czułbym się w małej szczurzej klitce.

Dwa dni po imprezie obudził się, a jej nie było. W gruncie rzeczy nie zdziwił się. Nie mogła z nim wytrzymać. On też nie mógł. Sam to przyznawał. Tylko co z tego. Kopnął w ścianę, a potem zadzwonił po pielęgniarkę. Ktoś mu przecież musi wciskać shivę. Teraz postanowił skupić się tylko i wyłącznie na oświecaniu. Włączył wideofon i oparł się o kredens. Czy można zatrzymać dwadzieścia procent kredensu? - zapytał sam siebie. Elektryczna pielęgniarka nr seryjny 576-332-003-UXV wzięła namiary i wskoczyła do szpitalnego wahadłowca. Czy dwadzieścia procent kredensu można sprzedać? - zastanowił się. Pielęgniarka imieniem Sylwia z czternastego szpitala w Północnej Dzielnicy będzie za jakieś pół godziny. Czy za dwadzieścia procent kredensu mógłbym dostać krzeselko?

Kiedy pielęgniarka dobije do satelity, nie będzie miała gdzie zadokować - uświadomił sobie. Wszystkie włązy zawałone shivą. I dwudziestoma procentami kredensu, nad którym teraz już lewitował. Postanowił więc zabrać ładunek amaterii i dobić do wahadłowca wychodząc w przestrzeń. Zaczął szukać stroju pletwonurka, jak nazywano tu skafander kosmiczny. Pewnie jest w sypialni. Doris lubiła się w nim kochać.

"Czy ja naprawdę kochałem Doris, czy tylko potrzebowałem jej, żeby nie być samotny? Kochałem ją przecież. Dlaczego więc byłem dla niej taki, jaki byłem? Czy

jestem tak spaprany, że złe cechy mojej osobowości są już poza kontrolą mojej woli? Błędne koło? Złe uwarunkowani tworzą złe uwarunkowanych? Błędy powielają się? Nigdy dla nikogo nie może być to żadnym usprawiedliwieniem. Chyba że godzimy się na to, żeby dać się wepchnąć w szufladkę z napisem wariat. Doris dawała mi motywację do działania. Dawała mi siłę. Wszystko to jest ludzkie..." - myślał Czajnik. Zygi pożerał coraz większe ilości shivy, a i tak czuł się zbyt słaby. Karlschvinn wynajął kolejnych dwóch bezistnieniowców i Zygi przekształcając się w amaterialną sferę wokół satelity usiłował nie dopuścić do ich wtargnięcia i porwania Czajnika. Z trudem dawał radę. Był to jedyny sposób na pozostanie w postaci ćpającego Buddy. Jeśli ich nie powstrzyma - koniec z shivą. Żegnaj, świecie, witaj nicości. Zygi wciąż nie czuł, aby dojrzał do nirwany. Musiał więc powstrzymywać. I powstrzymywać się od narzekania. Jeśli Czajnik zapragnie samobójstwa, nie da Zygiemu shivy i da się porwać bezistnieniowcom Karlschvinn. Lepiej więc nie prowokować go narzekaniami. Czajnik nigdy nie był zbyt zrównoważony. A od kiedy odeszła Doris, w ogóle nie można na nim polegać.

"Dlaczego on usiłuje się oświecić? Czy sądzi, że da mu to wolność? Przecież to tylko złudzenie. Albo jesteś ćpającym Buddą, albo cię nie ma. Twoją wolność wyznacza dostęp do shivy. Może lepiej nie być. Pusta przestrzeń, która jest

umysłem, która jest Buddą. Pustka, którą wypełniamy sobie złudzeniem świata. Albo postshivową halucynacją oświeconych. Ja jednak wciąż jeszcze wolę złudzenie. Jako człowiek jestem do niego przywiązany, a jako oświecony nie potrafię się tego przywiązania wyzbyć. Kiedy Czajnik jako bezistnieniowiec przestanie potrzebować mojej pomocy, odejdę z własnej woli. To będzie czas. Stanę się wszystkim, czyli niczym. Wszystkim, czyli niczym. Tego rodzaju paradoksy wbrew pozorom nie są pretensjonalne, a ich znaczenie jest bardzo głębokie. Trzeba tylko umieć do niego dotrzeć. Nadużywanie wyrazu »znaczyć« nie ma znaczenia" - myślał Zygi.

Czajnik tymczasem dryfował przez próżnię w stronę szpitalnego pojazdu, w którym spędzić miał najbliższe osiem lat, medytując, żyjąc z elektryczną pielęgniarzką imieniem Sylwia jak z żoną na bezludnej wyspie, oświecając się narkotyczną shivą i niemalże odnajdując stan równowagi. Gdy dotarł już do wahadłowca, kiedy wyjął ładunek shivy, gdy Sylwia wcisnęła mu kolejną dawkę, aby zbliżyć go do stanu oświecenia, kiedy odpłynął później w postshivowy niebyt momentalny, który na zewnątrz trwał ułamek sekundy, a w odczuciu Czajnika godzin kilka, gdy położył się później na łóżku otoczonym szpitalnym sprzętem z wahadłowca jak knot woskiem, kiedy przyswajał w tych okolicznościach amaterialną substancję, a właściwie to ona przyswajała jego, a

on wykonując tę bierną czynność poddawał się medytacji o wszystkim, czyli o niczym, w którymś z tych momentów - Czajnik sam już nie pamiętał w którym, choć za wszelką cenę usiłował sobie to później przypomnieć - w którymś z tych momentów naszedł go pomysł, żeby nie wracać już do swoich dwudziestu procent satelity i do swoich dwudziestu procent kredensu, do bogatych pustych wnętrz i całego tego chłamu, do życia, które stało się bez Doris już zupełnie puste, żeby kupić cały wahadłowiec wraz z elektryczną pielęgniarką i niepotrzebnym medycznym osprzętem, zamieszkać tam niczym pustelnik z zakonnicy i zająć się co najwyżej zbieraniem starych komiksów o kapitanie Marchevie, medytacją, shivą i seksem. Z jednej siatki związków międzyludzkich automatycznie przejść w drugą, którą zaraz stworzy, choć tym razem siatka ta będzie niemal pusta (A może te siatki zawsze były prawie puste?). Zawsze tak działał, jeśli był sam. W związku z tym zawsze istniała tylko chwila obecna.

- Nie widziałaś "Kapitana Marchevy w jaskini

Matprofesora"?

- Pewnie odłożyłaś do kufra.

- Odkąd zajmujesz się artystycznym myciem podłóg, nie jesteś już tak uważna. Kiedyś pamiętałaś, gdzie upuściłem tydzień wcześniej skarpetkę...

- Ślęczysz nad starymi komiksami o kapitanie Marchevie i

zarzucasz mi brak głębokiej uczuciowości charakterystyczny dla sztucznej inteligencji. Artystyczne mycie podłóg daje mi kolejną ludzką cechę. Mówisz, że powinnam się bardziej ucłowieczyć. Chcę to właśnie zrobić pozwalając sobie na słabostki - niedostateczną spostrzegawczość i absurdalne hobby.

- To był najlepszy komiks o Marchevis... Dziki uwielbiał go kiedyś. Nie miał wtedy pojęcia, że sam później w nim wystąpi. W symulacji z salonu gier... Gdzie ja go położyłem?

Powinnaś to pamiętać.

- Pieprz się.

- Choć jesteś elektryczną pielęgniarką, jesteś istotą świadomą i czującą... Najlepszy dowód to fakt, że twoja cybernetyczność tak cię dołuje. Tego rodzaju uczucia są typowo ludzkie... Nie przejmuj się tak, proszę...

- Nie jestem człowiekiem... Nie jestem istotą świadomą i czującą... Moje istnienie nie ma sensu...

- Co by na to powiedział Dziki... Pomyśl. To, czy czujesz za pomocą mózgowej galarety, czy za pomocą kwarcowych procesorów, nie ma znaczenia... Dziki jest na to dowodem. On wciąż jest sobą.

- Racjonalizujesz swoje hakerskie umiłowanie maszyn.

Chcesz w nich zobaczyć istoty czujące...

- Kocham cię...

- Pierdol się.

- I wtedy przestali zamykać cię w lodówce?

- Z początku jeszcze mnie zamykali, ale jak zobaczyli, że w środku jest ciepło, a ja podłączam się tam do sieci i dobrze się bawiąc olewam ich wyraźnie, zrezygnowali. Wtedy wymyślili zimne prysznice. W sytuacjach radykalnych wchodzili pod prysznic razem ze mną i psem...

- I dlatego jesteś taki pokręcony...

- Pieprz się.

- Wciskanie shivy wymaga zawsze przynajmniej dwóch osób. Shiva brana przez pojedynczego oświecającego się nie jest aktywna. Niektórzy twierdzą, że ma to związek z operacją pomiaru w fizyce kwantowej. Tam do stwierdzenia, gdzie spośród wielu miejsc o wyliczonych prawdopodobieństwach naprawdę znajduje się cząsteczką, niezbędna jest ludzka świadomość. Świadomość dokonującego pomiaru, która zmusza probabilistyczną rzeczywistość do podjęcia decyzji. Tu, do stwierdzenia, że oświecający się przyjął amaterialną shivę, niezbędna jest nie tylko jego własna świadomość, która odpływa w pustkę i w związku z tym nie wystarcza, lecz także świadomość obserwatora, wymuszająca na rzeczywistości zajście tego amaterialnego zjawiska... Między innymi dlatego bezistnieniowcy sami nie mogą zapewnić sobie dostępu do shivy i zdani są na łaskę firm wywiadu przemysłowego, w których jakiś yuppiszon może im w zamian za zlecenie wcisnąć amaterię albo i nie... Ale to znaczy też, że ty

dysponujesz świadomością... Inaczej nie mógłbym się oświecać. A przecież się oświecam.

- Skąd wiesz, że się oświecasz? Może tylko ci się wydaje.

- Pieprz się.

- Patrz, jaką przesyłkę dostałem od twojego byłego ordynatora. Już myślałem, że nigdy się nie doczekam.

Zostałbym ascetą.

- Pilot z kodem dostępu do mojego popędu seksualnego nie da ci mojej miłości. Da ci jedynie seks... Z drugiej strony to i tak dużo. W łóżku jestem niewiarygodna...

- Ty cała jesteś niewiarygodna. Jesteś piękna fizycznie i duchowo.

- Komplementami nie rozkochasz mnie w sobie. To, czy w ogóle odczuwam, jest sprawą problematyczną. Zajmij się już lepiej shivą.

- Wolę zająć się tobą. Włączam twój zwierzęcy popęd i czekam.

- Chodź tu...

- I nie wiesz, kto ją zabił?

- Nie pamiętam nawet, jak miała na imię.

- Podczas ostatniego postshivowego niebytu momentalnego miałem wizję. Pustka, będąca przestrzenią, będąca umysłem, będąca Buddą, odezwała się do mnie nie istniejącym głosem. Ponieważ głos nie istniał, nie wiem, o co tej pustce chodziło...

- Nabijasz się ze swojego własnego oświecania?

- Oświecenie nie jest procesem opartym na logicznym rozumowaniu, lecz na poznaniu. Im bardziej rozumiesz, że twój umysł błądzi, tym bliżej jesteś poznania. Patrząc na to od tej strony, mój umysł zabłądził już dawno temu. Powinienem chyba zgłosić to na policji... Może złączą go szukać. Osobę uważa się za zaginioną po tygodniu od czasu zniknięcia.

- Przecież oni już to robią. Szukają cię cały czas.

- No właśnie.

Tego rodzaju rozmowy trwały osiem lat. Po ich upływie dyrektor Karlschvinn przy pomocy swoich bezistnieniowców zatruł kluski dla ostatniego aktywnego statku Misji Międzyplanetarnej Pierwszego Stopnia, odcinając Czajnika od shivy. Nieżywi funkcjonariusze wraz ze swoją szefową unoszą się w powietrzu, martwa maszyna nie może utknąć w złożu jak mucha w mleku, Czajnik nie może dokończyć długotrwałego procesu oświecania, a Zygi nie może dłużej Czajnika chronić i poczyna z wolna przechodzić w stan nirwany. Wszystko utknęło w niemożności, a Czajnik zaczął myśleć o tamtej dziewczynie z małego hotelowego pokoiku przy Babylon Square. Chciał wierzyć, że jeśli rozwiąże tajemnicę jej absurdalnej śmierci, osiągnie upragniony stan oświecenia. To, że musiała zginąć, było dla niego symbolem wszystkiego, czego nie da się pojąć. Symbolem niepotrzebnego cierpienia. Symbolem błędnego koła.

Pozbawiony shivy musi znaleźć inną drogę prowadzącą do osiągnięcia iluminacji. Każda ideologia to racjonalizacja, ale oświecenie to dobra racjonalizacja - myśli Czajnik, a potem myśli o myślach. Myśli ciągną się jak słowa, słowa ciągną się jak kluski i nie są ważne. Intellect jest jedynie bezwolnym narzędziem pod panowaniem emocji - myśli Czajnik, a jego myśli przetwarzane są przez intelekt, o którym myśli. Potem Czajnik myśli o intelekcie przetwarzającym myśli o intelekcie. Myśli ciągną się jak kluski i nie są ważne. To nie kora mózgowa odpowiedzialna za myślenie rządzi człowiekiem, a dużo wcześniejszy wynalazek ewolucji - siedziba uczuć i instynktów - międzymózdze. Czajnik wiedząc o tym dobrze, czuł się jak międzymózdze pomiędzy. Jego emocje nie były dobrymi doradcami, o czym jego intelekt wiedział i wiedział też, że jest bezwolny w ręku tych kiepskich, źle wykształconych doradców. Lodówka i zimne prysznice nie są najlepszym inkubatorem. Intellect przejmował więc niekiedy funkcje niedorozwiniętych uczuć - nadrabiał ich braki. Podobnie jak niewidomy radzi sobie posiłkując się słuchem, operacjami takimi ratuje siebie umysł schizoida. Wszystko to jak błędne koło - ludzie spapranii niedorozwiniętymi bądź wypaczonymi uczuciami swoich rodziców sami tworzą spapranych ludzi bądź pokręcone delfiny. Jak do tego ma się wolna wola? Czy jest tylko fikcją? Matematyka chaosu i fizyka kwantowa, choć poddają determinizm w wątpliwość,

same nie wyjaśnią wiele. Wszystko to na pozór bez sensu. Jak śmierć tamtej dziewczyny. A może jest w tym jakiś sens? - pyta Czajnik. Może wszystkie elementy układanki pasują do siebie jak puzzle i gdy je ułożyć, ujrzy się obraz niezmiernie piękności - absolut, transcendencję czy coś takiego? Albo ujrzy się śmierć tej dziewczyny. Czy w tej śmierci było coś pięknego? Transcendentnego? Kto ją zabił? Po co? Czy jest ona obrazkiem, który pojawi się po ułożeniu puzzli?

Przybywszy na plac Babylon Square, Czajnik chciał poprzez bezpośredni kontakt z miejscem niewyjaśnionej śmierci odczuć wszystko to jeszcze raz. Wtedy złośliwy dziadek zmusił go do uskoczenia w powietrze. Czajnik wisi w tym wyskoku do tej pory, a w jego pamięci wszczepionej w kółko pojawia się napis: Error. Illumination imposible.

Tak kończy się jego historia. Turyści kupują koszulki z podobizną tego lewitującego zjawiska i uważając, że wrywa się ono z przyczynowo-skutkowych łańcuchów, stawiają w pobliżu znicze. Co bardziej zuchwali twierdzą, że znają Czajnika myśli, które ciągnąc się jak kluski zapętlily się i zatrzymały go w nieruchomej lewitacji trwającej w nieskończoność. Brzmiały one dosyć prosto: "Jak to możliwe, że istnieję wisząc w powietrzu? Przecież to bez sensu. A jednak tak się dzieje. Więc jak to możliwe, że istnieję wisząc w powietrzu? Przecież to bez sensu. A jednak tak się dzieje. Więc jak to możliwe..." 10 goto 10. Myśli te miałyby znaczyć

dużo więcej. Podobnie jak śmierć dziewczyny dziesięć lat przed wzbiciem się Czajnika w powietrze. Byłyby odbiciem błędnego koła, które sprawia, że wszystko się kręci zgrzytając bezsensownym cierpieniem jak źle skonstruowana, zardzewiała maszyna. Elektryczna pielęgniarzka patrząc na to z góry przez teleskop, z pokładu orbitującego szpitalnego wahadłowca, ma inne wrażenia. Jej zdaniem Czajnik po prostu całe życie przed sobą uciekał. Teraz siebie dopadł i nie chce puścić, co zmusza go do nieruchomej lewitacji. Doris z kolei w ogóle o nim nie myśli. Jej część korporacji wydobywającej shivę miewa się całkiem dobrze, toteż Doris żyje prowadząc drogę podróże po układzie słonecznym. Najbardziej niezadowolony jest dyrektor Karlschvinn wraz ze swoim delfinem. Czajnikowi po raz kolejny udało się wymknąć. Uniknął jego zemsty. Zygi natomiast nie ma nic do powiedzenia na temat Czajnikowego wiszenia, bo bez shivy przestał istnieć. Jest teraz pustką, którą wypełniamy sobie złudzeniem świata, jak twierdzą niektórzy. Dziki zaś dzięki bezistnieniowcom Karlschvinna rozbił się korporacyjnym statkiem kilka lat przed uniesieniem się swojego szefa nad chodnikiem w rogu placu Babylon Square. Teraz ucieka przed gumisiami w zwielokrotnionym istnieniu w tysiącach pozostałych automatów z salonów gier. Miasto czerpie duże zyski z turystyki. Każdy chce zobaczyć wiszącego w powietrzu Czajnika, którego historia

utknęła w zapętlonej lewitacji. W odczuciu Czajnika ciąg wydarzeń prowadzący do tego momentu urywa się jak ucięty nożem. Ale tylko w jego odczuciu, bo historia zagadkowej atrakcji turystycznej trwa dalej. Naukowcy prowadzą tu pomiary, publikują prace, firmy turystyczne wypuszczają broszurki, inni kręcą filmy, od czasu do czasu jakaś organizacja terrorystyczna, sama nie wiedząc czemu, usiłuje przeprowadzić tu zamach, od czasu do czasu jakaś sekta obiera sobie Czajnika za bóstwo... Z drugiej jednak strony, możliwe, że wszystko to jest tylko złudzeniem. Zbiorem nawzajem określających się przedmiotów i zdarzeń wpływających jeden na drugi, nie mających jednak odniesienia absolutnego. Jak słowa opisujące w słowniku inne słowa.

Andrzej Stępniewski

ANDRZEJ STĘPNIEWSKI

Warszawiak, rocznik 1973. Absolwent policealnego studium informatycznego, student nauk społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Państwu znany dotąd jako autor dwu nieortodoksyjnych, szalonych opowiadań: mrocznego "Ojca" ("NF" 12/96) i odlotowej "Strefy Kaszlu" ("NF" 4/97; przedruk w jubileuszowej antologii "Miłosne dotknięcie nowego wieku", Prószyński i S-ka 1998). "Babylon Square" to oczywiście kolejna polska, trochę parodyjna, na pewno oryginalna manifestacja twórczości cyberpunkowej. Ale atakuje Andrzej naszą świadomość na

paru poziomach - znajdziemy na przykład w "BS" elementy
wrażego dla większości fanów eksperymentu literackiego. Są
w opowiadaniu rozproszone klimaty Dickowskie, choć,
najwyraźniej, przeżyte na własnej skórze. Przestrzeń
(przestrzenie), w której przemieszczają się bohaterowie, ich
dzikie przygody, ich stany parareligijnej, wszechmocy i
wszechności... wszystko prowadzi ku zażywanym przez nich
substancjom zmieniającym świadomość... A więc kosmiczny
narkotykowy cyberpunk! Może - cyberdrug!? Ciekawe, czy ta
nazwa się przyjmie.

(mp)

1